

Tam, gdzie zaczyna się bohaterstwo



Fot. Stanisław Ociepka

**Limanowski rynek - miejsce spotkań
VIII Spacer Historyczny**

Niezwykły telefon z okresu międzywojennego

**Wózek z dworca 80 halerzy
- Dworcowa Limanowa**

**Historia limanowskiego
szkolnictwa powszechnego w pigułce**

KIERAT 2019 w obiektywie

**Tradycje związane z uroczystością
Bożego Ciała**

**Józef Wrona (1910-1989)
limanowianin**

Wybrane epizody z Jego życia

**Sekrety akcji „Burza”
na Ziemi Limanowskiej**

**Otwarcie Izby Pamięci
1 Pułku Strzelców Podhalańskich AK**



Święto Ochotniczej Straży Pożarnej - 2019



Fotografie: Stanisław Ociepka



Uroczystość poświęcenia remizy i motopompy przez ks. prałata Kazimierza Łazarskiego - 15 czerwca 1929 r. Na frontowej ścianie strażnicy widoczne strażackie symbole: drabina, bosak, toporek i hełm oraz data zakończenia prac przy remizie

Tam, gdzie zaczyna się bohaterstwo

– historia limanowskiego pożarnictwa

Stanisław Ociepka

W bieżącym roku obchodziliśmy dwa jubileusze związane z Ochotniczą Strażą Pożarną w Limanowej: 145. rocznicę powstania OSP (1874 r.) oraz 90. rocznicę oddania Remizy Strażackiej (1929 r.).

Józef Bek sekretarz Rady Powiatowej w Limanowej we wstępie okolicznościowej broszury zatytułowanej: „Pamiętka Jubileuszu, Limanowskiej, Ochotniczej Straży Ogniowej, 1874 – 1899”, wydanej we Lwowie w 1900 r. napisał: „Są różne drużyny po miastach: śpiewackie, gimnastyczne, rękodzielnicze, ale ponad wszystkie, ogół zawsze stawia drużyny straży ogniowych.

Szczególną sympatią otaczani są strażacy. To są bojownicy, których ofiarna walka z żywiołem rozhukanym nosi na sobie piętno bezinteresownego poświęcenia. Strażak poświęca czas, siły, zdrowie i życie, a w zamian za to ma tylko przekonanie, że spełnił czyn dobry. Gdy zagrzmi trąbka sygnałowa, gdy powietrze rozkołysze ponury łoskot dzwonu kościelnego, gdy po ulicach rozebrzmi

złowrogi okrzyk: pożar! – w piersi strażaka zawsze serce uderzy mocno, dłoń pewna chwyta narzędzie i za chwilę strażak wyzywa ślepy żywioł do walki (...).”

W tym okolicznościowym wydaniu z 1900 roku odnajdujemy krótką historię 25-letniej działalności OSP w Limanowej: „Towarzystwo Straży Ogniowej Ochotniczej w Limanowej powstało w roku 1874. Założycielami byli: **Karol Góra**, adiunkt sądowy, **Eugeniusz Rozwadowski**, radny miasta i **Antoni Janik** burmistrz Limanowej.

► Pierwszym naczelnikiem straży był Karol Góra, następnie śp. Rozwadowski, Dr. Kazimierz Kruk, śp. Józef Matuziński, poczem przez 12 lat komendanci oddziałowi sami zarządzali Towarzystwem. Wreszcie w r. 1885 wybrano naczelnikiem straży p. Józefa Herberta, adiunkta podatkowego. Towarzystwo rozwijało się pomyślnie. Od r. 1888 do 1890 naczelnikiem był p. Hajdukiewicz, sekretarz Rady Powiatowej. Wreszcie w r. 1891 na naczelnika straży Walne Zgromadzenie Towarzystwa powołało p. Walerego Zubrzyckiego aptekarza i obecnego burmistrza Limanowej, który godność tę dotąd piastuje.

W ciągu ćwierćwiecza istnienia swego, straż ogniowa czynną była przy mniejszych i większych pożarach, w obrębie swej gminy. Od r. 1889 pełni korpus w miesiącach letnich służbę pogotowia nocnego w gminie. Prócz czynności ratunkowych, korpus występował i występuje w czasie nabożeństw w święta Bożego Ciała, Wielkiejnocy, św. Floriana i setnej rocznicy Konstytucji 3 Maja(...).

Od początku swojego istnienia limanowska straż dawała przykład, jak należy nieść skuteczną pomoc tym, których dotknęła klęska ognia (...).

Ważnym wydarzeniem w dziejach OSP w Limanowej było ufundowanie w roku 1894 pierwszego sztandaru. Ówczesny kronikarz tak opisał tę uroczystość: „(...) Wydział Towarzystwa Ochotniczej Straży Pożarnej składali Wielmożni Panowie: Zygmunt Jordan Rozwadowski zastępca naczelnika, Marian Nowina Kwiatkowski, Zygmunt Mars, Michał Janik, Józef Klimek, pod przewodnictwem Wielmożnego Pana Waleriana Wieniawy Zubrzyckiego, jako naczelnika.

Staraniem tego Wydziału, a kosztem Członków Towarzystwa Ochotniczej Straży Pożarnej, sprawiono wspaniały sztandar ze szkarłatnego atlasu, iżby przypominał Członkom, że Miłość Chrześcijańska i Święta Miłość Kochanej Ojczyzny powinna ich zagrzewać, ile razy ku zacnej sprawie pod wspólnym zgromadzą się Sztandarem. Że dla dobra Narodu nie wolno się cofać przed żadnym trudem ani niebezpieczeństwem, ale ramię przy ramieniu przy Sztandarze wytrwać jak na Dobrych Synów Ojczyzny przystało.

Drużyna strażacka wraz z pierwszym sztandarem poświęconym w 1894 roku. Fotografia wykonana w ogrodzie miejskim w 1928 roku



Obchody 50-lecia straży ochotniczej w Limanowej. Dekorowanie strażaków przez delegata Związku Straży Pożarnictwa Województwa Krakowskiego p. Józefa Mikla - 11 października 1924 r.



Pamiątkowe zdjęcie na zakończenie kursu pożarniczego na placu „Sokoła” - wrzesień 1927 r. Siedzą od lewej: Stanisław Ceglarz, Franciszek Bogacz, Zdzisław Bączkowski, Marcelli Bursztyn - burmistrz, Leopold Winter, dr Stanisław Maleta - prezes sądu, Juliusz Marossanyi - starosta, ??, ? Szechiński - komisarz policji, Józef Wojs





Uroczystość poświęcenia i oddania do użytku remizy OSP w Limanowej - 1929 rok



Drużyna strażacka przed nową remizą przy ulicy Sądeckiej (obecnie Kościuszki). Stoją od lewej: Kazimierz Leśniowski - naczelnik rejonu OSP, Franciszek Bogacz - naczelnik oddziału OSP



Dekoracja odznaczeniami zasłużonych strażaków na limanowskim rynku - 1929 rok

Wręczenie sztandaru połączone z uroczystym Obchodem setnej Rocznicy wielkopomnego Działu Tadeusza Kościuszki”.

Działalność Ochotniczej Straży Pożarnej w Limanowej rozwijała się przez kolejne lata, można o tym przeczytać w wielu publikacjach związanych z kolejnymi rocznicami, m.in. z okazji 135. rocznicy w „Echu Limanowskim” ukazał się reportaż Stanisława Króla pt. „Tam gdzie ogień, gdzie się pali dalej bracia – 135 lat limanowskiej OSP” („EL”, nr 176-177, maj – czerwiec, 2009 r.).

W artykule tym wspomniano o trudnych warunkach bazowych straży zarówno w okresie galicyjskim, jak również w latach międzywojennych. Brak własnej siedziby zmuszał ówczesnych druhów do przechowywania sprzętu pożarniczego w prywatnej stodole.

Jak wspominałem, w tym roku przypada 90. rocznica oddania pierwszej remizy strażackiej, która powstała wysiłkiem naszych przodków i o tym fakcie kilka zdań.

Pożar z roku 1915, kiedy spłonęło 57 budynków w południowo-zachodniej części rynku, a który gasili sami mieszkańcy Limanowej raz jeszcze uświadomił wszystkim jak istotnym znaczeniem jest istnienie straży pożarnej. W tym czasie nie funkcjonowała OSP, bowiem strażacy powołani do austriackiej armii walczyli na frontach I wojny światowej. Dlatego kiedy w roku 1918 odrodziła się wolna Polska, jednym z priorytetowych zadań było odtworzenie Ochotniczej Straży Pożarnej. Rozwiązanie tego problemu nie było łatwe. Brak wozów strażackich i sprzętu gaśniczego, a nade wszystko własnej remizy, w której można by właściwie przechowywać ten sprzęt, czyniło, iż z ogniem i kłęskami żywiołowymi nie można było walczyć skutecznie. Ówczesne władze miasta i wielu działaczy społecznych przystąpiło więc do realizacji odnowy OSP. W 10. rocznicę odzyskania niepodległości, w święto przypominające to niezwykle w dziejach narodu wydarzenie, 11 listopada 1928 roku wmurowano kamień węgielny pod budowę nowej remizy przy ulicy Sądeckiej (obecnie ul. Kościuszki). Uroczystość tę opisano w Księdze Pamiątkowej OSP: „(...) W dniu 11 listopada 1928 roku odbyła się uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod nową naszą remizę. Inicjatywa budowy wyszła wprawdzie ze strony Związku Straży, ale energiczne bardzo poparcie nastąpiło szczególnie ze



Przed remizą OSP w Limanowej strażacy ze swoim pierwszym samochodem - lata trzydzieste XX wieku

► strony naszego starosty P. Dr. Müllera, P. Burmistrza Marceliego Bursztyna, jak również ze strony Rady Gminnej.

W uroczystości w dniu 11 listopada wzięły udział wszystkie miejscowe stowarzyszenia, urzędnicy, różne delegacje oraz ludność miejscowa, a także i przybyła z okolicznych wsi. Po odegraniu przez strażacką orkiestrę hymnu narodowego Pan Burmistrz Marceł Bursztyn odczytał napisany na pergaminie akt erekcyjny (...). „Akt erekcyjny umieszczony w hermetycznie zamkniętej flaszcze i do tego zalakowanej, został następnie umieszczony w miejscu, gdzie miała stanąć remiza, a potem wszyscy przedstawiciele rzucili pierwsze cegły i cement.

Do pracy przystąpiono z entuzjazmem. Już po roku nowa remiza była gotowa. Okazały na ówczesne czasy murowany budynek cieszył wszystkich. Na jego frontonie umieszczono strażackie symbole: drabinę, bosak, toporek i hełm oraz datę zakończenia prac: 1929 rok. Zakupiono również nowoczesną „sikawkę motorową”, która wraz z budynkiem nowo powstałej remizy

została poświęcona przez ks. prałata Kazimierza Łazarskiego. Uroczystość poświęcenia remizy miała miejsce 15 czerwca 1929 r. w jubileusz 55. rocznicy powstania OSP w Limanowej.

Wydarzenie to zostało opisane w ówczesnej prasie. Napisano: „Przybyłe z całego powiatu limanowskie straże po złożeniu przez inst. Małykę raportu p. staroście Müllerowi, ruszyły na nabożeństwo, które celebrował ks. prałat Łazarski. Po nabożeństwie odmaszerowały straże przed remizę, gdzie nastąpił uroczysty akt poświęcenia strażnicy i sikawki, poczem odbyło się wbijanie gwoździ pamiątkowych. Piękne przemówienie wygłosili: ks. prałat Kazimierz Łazarski, który streścił dzieje straży w Limanowej, p. Marceł Bursztyn, który jest prezesem straży. Następnie Starosta udekorował naczelnika rejonu Limanowej – druha Kazimierza Leśniowskiego, p. Franciszka Bogacza i naczelnika OSP z Dobrej – Jana Gąsiora srebrnym medalem zaśluzgi, naczelnika OSP ze Słopnic – Szlacheckich J. Pałkę i p. K. Gasidłę brązowym medalem za zaśluzgi oraz 16-tu członków

OSP z Limanowej oznakami za wysługę lat. Podczas dekorowania przemówili: p. starosta i wiceprezes Związku Krakowskiego druh Jan Kuc.

Po obiedzie wydanym przez Zarząd miejscowej Straży dla zaproszonych gości – Straż – jubilatka wykonała popisowe ćwiczenia wobec licznie zgromadzonych obywateli miejscowych. Na zakończenie odbyła się zabawa taneczna”.

Remiza strażacka przy ulicy Sądeckiej z drewnianą wieżą wspinaczną i zagospodarowanym przez strażaków, przyległym do niej ogrodem, ciągnącym się ku dolinie Potoku Jabłonieckiego była nie tylko miejscem przechowywania sprzętu i szkolenia. Skupiało się tu także dość często życie towarzyskie Limanowej. Organizowano festyny strażackie, podczas których urządzano loterie fantowe, z których dochód przeznaczano na zakup drobnego sprzętu i umundurowania. Na placu przy remizie strażacy zbudowali kręgielnię, która była atrakcją dla wielu amatorów tej formy rekreacji. W suferiach remizy urządzone świetlice, gdzie odbywały towarzyskie spotkania.

Kolejne lata przyniosły dalszy postęp w rozwoju limanowskiej jednostki straży pożarnej. Ważnym momentem w jej historii była zamiana konnego wozu strażackiego na pierwszy samochód strażacki. Nastąpiło to w latach trzydziestych XX wieku, kiedy udało się okazjnie za niewielką cenę kupić w Krakowie używany samochód „Austro – Daimler” – model z lat 1926-27. Samochód ten przystosowano dla potrzeb straży pożarnej. Dokonano tego w firmie Juliana Fischera w Sowlinach, która działała wówczas w zabudowaniach rafinerii ropy. Firma ta produkowała i montowała karoserie małych samochodów ciężarowych na podwoziach marki Chevrolet.

Trudne lata dla OSP w Limanowej nastąpiły w okresie okupacji hitlerowskiej oraz w latach powojennych (lata 50-te), kiedy decyzją ówczesnych władz większa część placu wokół remizy została przeznaczona na budowę bloku mieszkalnego, zniknęła także kręgielnia.

Kiedy w roku 1968 utworzono w Limanowej jednostkę Zawodowej Straży Pożarnej, OSP jako do tej pory jedyna obrończyni ludności przed ogniem i klęskami żywiołowymi tę rolę przestała pełnić. Stała się jednostką o charakterze rezerwowym.

Czara goryczy przelała się, kiedy remizę, będącą od roku 1929 siedzibą Ochotniczej Straży Pożarnej przekazano Spółdzielni Inwalidów „Limanowianka”. Jednostkę OSP przeniesiono do nowego budynku, w której mieściła się jednostka straży zawodowej. Strażacy – ochotnicy, nie mogąc się z tym pogodzić interweniowali u wojewody nowosądeckiego Antoniego Rączki, który był związany z Limanową w latach 1971-75. Dzięki jego pomocy remizę odzyskano. Niestety budynek był bardzo zniszczony, ale hart ducha strażaków ochotników pozwolił na jej odbudowanie. W czynie społecznym, tak jak w latach poprzednich, przeprowadzono remont strażnicy. Symbolem tej odnowy stała się betonowa tablica z atrybutami pożarnictwa (hełmem, bosakiem, toporkiem, drabiną oraz datą 1929), która umieszczona na zewnętrznej elewacji budynku przypominała historię pożarnictwa w naszym mieście, a nade wszystko była symbolem bohaterstwa limanowskich strażaków ochotników na przestrzeni dziesiątków lat zmagania się z żywiołami.

W roku 1974 limanowska Ochotnicza Straż Pożarna obchodziła uroczyste 100.

rocznicę swego istnienia. Z tej okazji wydano pamiątkową broszurę zatytułowaną „Pamiętka Jubileuszu 100. Rocznicy Limanowskiej Straży Pożarnej”, którą słowem wstępnym opatrzył Antoni Rączka, gdzie m.in. napisał: „Ochotnicza Straż Pożarna w Limanowej wkroczyła w setną rocznicę swojego istnienia. Przeglądając kronikę oraz zapisy, które zachowały się, należy stwierdzić, że wnieśliście ogromny wkład w rozwój życia gospodarczego i kulturalnego Limanowej, że w Waszych szeregach wychowała się ogromna armia działaczy, którzy swoją działalnością przyczynili się do pomnażania dorobku Ziemi Limanowskiej (...)”.

Kolejnym ważnym wydarzeniem w dziejach limanowskiej OSP był rok 2009, kiedy obchodzono 135. rocznicę powstania tej społecznej jednostki ratowniczej. Jak wspominałem w „EL” ukazał się obszerny artykuł na ten temat. Wydano okolicznościowe wydawnictwo autorstwa Jerzego Bogacza zatytułowane: „135 lat Ochotniczej Straży Pożarnej w Limanowej 1874-2009”. W tym wydawnictwie m.in. czytamy:

„(...) Jej siedziba wciąż mieści się w dawnym budynku remizy przy ulicy Kościuszki, oddanej do użytku w roku 1929 – równo osiemdziesiąt lat temu. I choć limanowscy strażacy-ochotnicy bardzo cenią sobie tradycję, czego dowodem jest choćby to wydawnictwo, zamierzali o tym, by rozpocząć budowę nowej siedziby Ochotniczej Straży Pożarnej”.

Jak zamarzyli, tak wykonali. Przygotowania do budowy nowej remizy rozpoczęły się w roku 2005. Pierwotnie planowano, że stanie ona nieopodal starej – u zbiegu ulic Kościuszki i Berlinga. Potem rozważano jeszcze dwie lokalizacje: przy ul. Czecha oraz przy ul. Spacerowej. Ostatecznie nową remizę zlokalizowano przy ul. Zygmunta Augusta. Prace budowlane nowej remizy rozpoczęto 12 czerwca 2009 roku, a zakończono w roku 2011. 15 sierpnia 2011 roku uroczystie oddano budynek do użytku.

Co stało się z historyczną strażnicą z roku 1929?

Niestety, po przeszło osiemdziesięciu latach służenia limanowskiemu społeczeństwu została sprzedana prywatnemu właścicielowi. Można nawet zrozumieć ową operację handlową w świetle potrzeb finansowych przy budowie nowego budynku remizy, choć zdanie limanowskich historyków i regionalistów jest odmienne. Tak niezrozumiałą rzeczą jest

zlikwidowanie betonowej historycznej tablicy z symboliką pożarnictwa, która zamontowana była na elewacji budynku i przetrwała okupację oraz trudne lata powojenne. Dopiero w demokratycznej Polsce doczekała się usunięcia.

Czy jest to dobry kierunek pielęgnowania tradycji? Pozostawiam to do oceny Czytelników.

Obecnie po 145 latach od powstania Ochotniczej Straży Pożarnej w Limanowej, która była jedną z najstarszych na terenie byłego zaboru austriackiego, podejmuje się działania prowadzące do odtworzenia sprzętu pożarniczego z minionej epoki.

Limanowa wraz z Dolnym Kubinem ze Słowacji podjęła się realizacji mikroprojektu pn. „Ochrona tradycji i technik pożarniczych z przełomu wieków na obszarze pogranicza Polsko – Słowackiego”. W ramach tego programu odtworzone zostały historyczne wozy strażackie tzw. sikawki konne z ok. 1920 roku oraz 20 kompletów mundurów strażackich, składających się z bluzy, spodni, pasa z toporkiem, hełmu i butów. Odtworzone wozy strażackie wraz z modelami koni zostały wyeksponowane w gablotach przy budynkach OSP w Limanowej i Łososinie Górnej. Po zakończeniu projektu gabloty wraz z ekspozycją będą służyły promocji dziedzictwa historycznego jako elementy „żywej historii”.

W dniu 5 maja miała miejsce uroczystość powiatowo – miejskich obchodów Dnia Strażaka, połączona z jubileuszem istnienia dwóch jednostek OSP w Limanowej (145. rocznica) i w Łososinie Górnej (86. rocznica). Uroczystość rozpoczęła się mszą św. w limanowskiej bazylice. Po nabożeństwie uczestnicy zgromadzili się na parkingu obok płyty limanowskiego rynku, wokół której znajdowały się strażackie wozy bojowe z całego powiatu limanowskiego. W uroczystości wzięła udział wicepremier Beata Szydło, parlamentarzyści oraz samorządowcy. W czasie święta strażackiego uhonorowani zostali wyróżniający się druhowie. Całość uroczystości zakończyła rekonstrukcja historycznej akcji gaśniczej z użyciem dwóch konnych wozów strażackich oraz strażaków ubranych w odtworzone mundury z lat dwudziestych XX wieku.

Fotografie: arch. albumów „Okruchy pamięci”

Limanowski Rynek – miejsce spotkań...

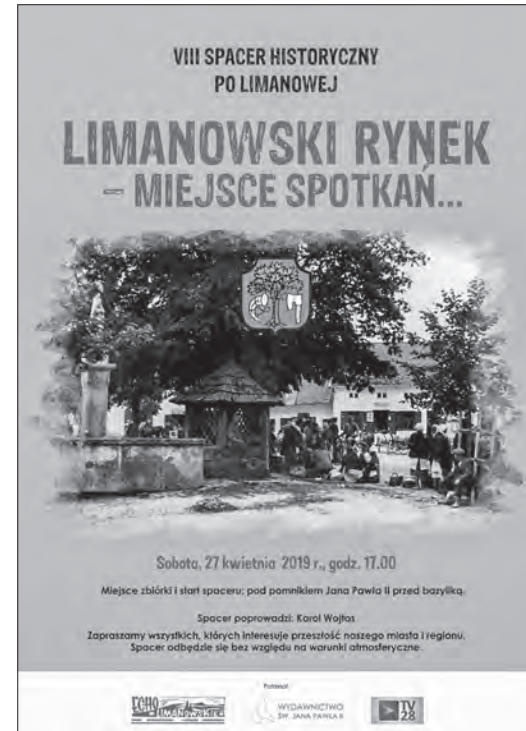
Karol Wojtas

VIII Spacer Historyczny po Limanowej

W sobotę 27 kwietnia 2019 roku odbył się VIII Spacer Historyczny po Limanowej. Był to pierwszy spacer w tym roku, a jego tytuł brzmiał „Limanowski Rynek – miejsce spotkań...”. Tematem głównym kolejnej edycji wydarzenia z kilku powodów był centralny plac miasta, czyli limanowski Rynek.

Limanowski Rynek przez ponad cztery i pół stulecia swego istnienia, od momentu wytyczenia go podczas lokacji miasta w 1565 roku do dnia dzisiejszego jest miejscem spotkań. Były i są to różnorakie spotkania mieszkańców miasta ze swoimi sąsiadami i znajomymi, mieszczan limanowskich z mieszkańcami bliższej i dalszej okolicy, czy także np. mieszkańców regionu z przedstawicielami najwyższych władz. Limanowianie i mieszkańcy najbliższej okolicy przez długie lata spotykali się na tym centralnym placu miasta w dni targowe podczas jarmarków, ale też podczas uroczystości religijnych, czy też podczas uroczystości państwowych. Na rynku limanowskim przez lata witano wybitne postacie, wśród których byli przywódcy państwowi, politycy, duchowni, artyści, sportowcy. Pośród tych powitań

należy wymienić kilka najważniejszych. W listopadzie roku 1851 społeczeństwo Limanowej i całej okolicy witało tu przejeżdżającego przez Ziemię Limanowską cesarza austriackiego Franciszka Józefa I. Wizyta monarchy przebiegała w nie długim czasie po wstąpieniu młodego Franciszka Józefa na tron oraz niedługo po powstaniu krakowskim 1846 roku, rabacji galicyjskiej oraz Wiośnie Ludów, więc klimat tej wizyty nie był najlepszy. Tak o tym pisała „Gazeta Lwowska” (nr 259, 10 listopada 1851 r.): *Zapowiedziane na 1 listopada przybycie Jego Ces. Mości było we wszystkich miastach i wsiach obwołu Sądeckiego przyczyną najszczerzej radości. O godzinie 10tej przybywszy do Limanowa, przyjmował Najj. Pan u bramy tryumfalnej hołd dziekana miejscowego, duchowieństwa okolicy, c. k. urzędników i gminy żydowskiej.*



Podczas przepręgu raczył Jego Ces. Mość przyjąć najlaskawiej podane sobie pisemne prośby wieśniaków, obdarzył także jednego inwalidę datkiem pieniężnym (...).

W lipcu 1929 roku mieszkańcy miasta witali na rynku Prezydenta II RP Ignacego Mościckiego, który to w Limanowej spędził dwa dni.

W latach trzydziestych XX wieku chłopci z całej Ziemi Limanowskiej spotkali się na rynku z Wincentym Witosem i innymi przywódcami ruchu ludowego. Pisał o tym wydarzeniu ówczesny redaktor naczelny „Piasta”, Eugeniusz Bielenin w artykule z 22 maja 1932 r., w nr. 21 za tytułowanym: „Zorganizowana masa chłopska defiluje przed przywódcami”, w którym m. in. czytamy: *Po Mszy św. z ustawionej na Rynku mównicy nastąpiły przemówienia. Zagaił to olbrzymie zebranie p. Józef Mamak. Pierwszy zabrał głos poseł dr Kiernik. Kolejno głos zabierali p. Malinowski – prezes stronnictwa, p. Róg – prezes klubu poselskiego, poseł Langer, poseł Pawłowski i na koniec poseł Wincenty Witos. Przywitany burzą*



Spacer rozpoczął się przy tablicy pamiątkowej, gdzie 16 czerwca 1999 roku zatrzymał się papież Jan Paweł II w drodze do Starego Sącza



oklasków, wiwatów, oklaskami i uchyleniem tysięcy kapeluszy z głów, długo nie mógł z huraganu tego przejść do słowa. Opanował ludzi istny szal uniesienia. Ludzie wiwatowali i płakali, a gdy zdołano masy uciszyć i doprowadzić do spokoju, przemówił wódz chłopski, kawaler Orderu Orła Białego i więzień brzeski, niestrudzony, pogodny i wytrwały Witos. Przemówienie jego nie było przemówieniem fajerwerkowym, ale rzucaniem spokojnym i rozważnym brył mocnych słów, nieugiętej wiary w przyszłość chłopca (...).

20 lat temu 16 czerwca 1999 roku limanowianie na czele z śp. biskupem Piotrem Bednarczykiem witali tu Ojca Świętego Jana Pawła II, który zatrzymał się w drodze do Starego Sącza. Fakt ten został uwieczniony na stronie tytułowej „Echa Limanowskiego” nr 66 z lipca 1999 r., wówczas miesięcznika, gdzie ukazano dziś już historyczne fotografie autorstwa Franciszka Natanka i napisano: *Wielka radość zapanowała w Limanowej. Papiaska kolumna w drodze do Starego Sącza zatrzymała się przed Bazyliką Matki Boskiej Bolesnej. Z otwartej limuzyny papież pobłogosławił miasto i jego mieszkańców.*

Przez limanowski rynek podczas I oraz II wojny światowej przetaczały się kolumny różnych wojsk i maszerowali tędy żołnierze na front. W czasach pokoju przez limanowski rynek przejeżdżały wyścigi kolarskie oraz rajdy samochodowe. Odbywały się tu także różne wydarzenia artystyczne, jak koncerty i plenerowe przedstawienia teatralne. Rynek limanowski był także przez lata miejscem różnych wieców politycznych i demonstracji oraz uroczystości państwowych np. z okazji świąt państwowych, takich jak 3 Maja czy 11 Listopada.

Na limanowskim rynku przez dziesięciolecia odbywały się uroczystości religijne, takie jak np. procesje Bożego Ciała czy np. msza św. na powitanie Piety limanowskiej po rekonstrukcji w czerwcu 1983 roku. Przez lata, tak jak i dzisiaj rynek jest jednak przede wszystkim miejscem codziennych spotkań zwykłych mieszkańców. ▶



Fotografie od góry:

Fot. 1 Grupa spacerowiczów przed statua św. Floriana na placu przykościelnym. Figura w latach 70. została przeniesiona z limanowskiego rynku.

Fot. 2 i 3 Atrakcją każdego Spaceru Historycznego po Limanowej jest prezentacja reprodukcji archiwalnych fotografii starej Limanowej

Fot. Stanisław Ociepka



Obchody 3 Maja w latach trzydziestych XX wieku. W tle południowo-zachodnia pierzeja rynku. Fot. arch. albumu „Okruchy pamięci”

► Podczas spaceru uczestnicy poznali szczegóły tych spotkań limanowian z ważnymi osobami na centralnym placu miasta.

W najbliższym czasie rusza także planowana przez władze miasta przebudowa rynku. Podczas spaceru jego uczestnicy dowiedzieli się też jak przez lata zmieniał się ten główny plac miasta oraz jak wyglądały nieistniejące już dziś budynki, które dawniej przy nim stały.

Przebieg Spaceru Historycznego

Spacer rozpoczął się przy pomniku Jana Pawła II przed limanowską bazyliką w miejscu, gdzie 20 lat temu Ojciec Święty zatrzymał się w drodze do Starego Sącza na kanonizację księżnej Kingi. Uczestnicy spaceru zobaczyli tablicę upamiętniającą to wydarzenie oraz poznali szczegóły wizyty papieża w Limanowej 16 czerwca

1999 roku. Wspomniano także postać śp. biskupa Piotra Bednarczyka i okoliczności pielgrzymki papieża do Polski w 1999 roku. Następnie stojąc na schodach przed bazyliką, uczestnicy spaceru zapoznali się z przemianami architektonicznymi tego narożnika rynku. Omówiono jak przez lata zmieniała się najbliższa okolica kościoła i jakie budynki stały w tym narożniku rynku przed budową obecnej świątyni.

Następnie cała grupa przeszła pod fontannę z figurą świętego Floriana na terenie ogrodu przy bazylice. Fontanna ta przez lata była zbiornikiem pożarowym i stała na środku rynku. Została przeniesiona w to miejsce podczas przebudowy rynku w latach 70. XX wieku (Więcej o jej dziejach czytelnicy Echa mogli przeczytać w artykule „Wędrówka pomników – symboli Limanowej” w numerze 294–295, marzec – kwiecień 2019). Prowadzący spacer przybliżył wszystkim dzieje tego

zbiornika – fontanny oraz postać świętego Floriana, patrona strażaków. Po zrobieniu pamiątkowej fotografii uczestnicy przeszli na środek płyty rynku, aby tam poznać szczegółowo kolejne fazy przemian jego zabudowy. Przy pomocy archiwalnych fotografii prześledzono przemiany zabudowań, wygląd samego centralnego placu oraz różne wydarzenia utrwalone na kliszy przez fotografów. Wspomniano w tym miejscu pożary, które trawiły miasto i niszczyły budynki przy rynku. W maju 1915 roku pożar, który zniszczył znaczną część miasta strawił także zabudowania południowej pierzei rynku, co można zobaczyć na archiwalnych fotografiach, które często mylnie były i niestety są podpisywane przez niektórych historyków i autorów różnych publikacji, jako zniszczenia wojenne. Jednak są to zniszczenia w wyniku pożaru, o czym świadczą relacje reporterów w ówczesnej prasie lokalnej i ogólnie



Montaż dwóch zdjęć z lat okupacji. Spośród obiektów uwiecznionych na fotografii jedynie kościół istnieje do czasów współczesnych. Fot. arch. albumu „Okruchy pamięci”



Zgromadzenie chłopów z Ziemi Limanowskiej na wiecu na rynku w Limanowej. Lata 30. XX wieku

galicyjskiej, m.in. w: „Głosie Narodu” nr 253 z 25 maja 1915 r. czy w krakowskim tygodniku „Piaś” nr 21 z 23 maja 1915 r., w którym czytamy: *W poniedziałek 10 maja 1915 r. o godzinie pół do 3. po południu wybuchł pożar w tylnej części domu Suchera Blaugrunda i wkrótce objął znaczną część miasta. Jakkolwiek akcja ratunkowa była znaczna, gdyż załogująca wojskowość przysłała zaraz z pomocą, to jednak z powodu dość silnego wiatru ogień rozszerzał się szybko i cała południowa część miasta, od rynku począwszy, uległa zniszczeniu (...). Dzięki intensywnej pracy wojskowości i mieszczan udało się pożar pod wieczór o tyle zlokalizować, że druga połowa miasta ocalała. Pożarowi uległo przeszło 50 rodzin, które dziś są bez dachu i środków do życia (...). Z pierwszą pomocą dla ludności, dotkniętej klęską pożaru przyszedł tutaj p. starosta dr Roman Trzeciak, obecnie akcją zapomogową objął w swe ręce p. Józef Bek – sekretarz Rady Powiatowej w Limanowej i Komitet Obywatelski z posłem naszego okręgu p. Stanisławem Śmiłowskim na czele. (Więcej o pożarach i zniszczeniach czytelnicy Echa mogli przeczytać w artykule „W 250. rocznicę pożaru Limanowej” w numerze*



Manifestacja 1 Maja na limanowskim rynku - lata 50. XX wieku. Fot. arch. Jerzego Bogacza

294–295, marzec-kwiecień 2019). Kolejny pożar wywołany przez armię czerwoną w styczniu 1945 roku strawił północną pierzeję rynku z charakterystycznymi podcieniami. Natomiast pożar z 1946 roku strawił zabudowania zachodniej pierzei rynku, ocalał wtedy budynek byłej szkoły przy kościele.

Kolejnym punktem spaceru było omówienie ostatniej przebudowy rynku w latach 1970–1972 i budowy tzw. „Buzodromu”. Niektórzy starsi uczestnicy

spaceru podzieli się swoimi wspomnieniami z młodości i tym jak zapamiętali rynek limanowski z lat 50. i 60. XX wieku. Był to rynek pełen zieleni z drogą biegnącą przez środek placu i dworcem autobusowym. Następnie omówiono dwa najstarsze budynki w rynku znajdujące się w południowo-wschodnim narożniku. Budynki te pochodzą jeszcze z XIX wieku i przez lata pełniły różne funkcje. Budynek, w którym przez lata znajdowała się restauracja „Myśliwska” ▶



Powitanie Piety limanowskiej po rekoronacji przez papieża Jana Pawła II na krakowskich Błoniach w czerwcu 1983 roku. Fot. Zbigniew Dutka

► a później restauracja „Czardasz” pierwotnie był zajazdem dla podróżnych i stacją dylizansów. Funkcjonował on jeszcze wiele lat przed budową linii kolejowej i zatrzymywali się w nim liczni podróżni. Powstał on około połowy XIX wieku, a przez kilkadziesiąt lat mieściły się w nim restauracje, które zmieniały wielokrotnie nazwę i właścicieli. Drugim budynkiem jest ten mieszczący obecnie

sklepy oraz lokale usługowe, a powstały także w połowie XIX wieku i pełniący dawniej rolę siedziby starostwa, a także innych urzędów. Przy okazji omówiono także dzieje kamienicy należącej pierwotnie do kupca i burmistrza Limanowej Tomasza Biedy.

Następnie wszyscy przeszli do północno-wschodniego narożnika rynku, aby tam zapoznać się z dziejami tej części

miasta. Analizując archiwalne fotografie, prowadzący uświadomił uczestnikom spaceru, że przez lata to miejsce było ważnym punktem, w którym odbywały się uroczystości państwowe i miejskie. To między innymi w miejscu dzisiejszego budynku Banku Spółdzielczego znajdował się przez pewien okres limanowski magistrat. To tu odbywały się różnorakie przemówienia czy apele. Drugim takim szczególnym miejscem, gdzie odbywały się różne uroczystości i ceremonie, była fasada budynku nieistniejącej już dziś szkoły koło kościoła. W tym miejscu omówiono także dzieje kamienicy należącej pierwotnie do kupca i przedsiębiorcy Tomasza Biela. Na zakończenie spaceru uczestnicy zadali jeszcze kilka pytań dotyczących przemian architektonicznych centrum miasta i poszczególnych wydarzeń, które miały miejsce na limanowskim rynku.

W najbliższym czasie odbędą się kolejne Spacery Historyczne po Limanowej, na które zapraszamy wszystkich chętnych.



Ks. bp Piotr Bednarczyk wita papieża Jana Pawła II przed limanowską bazyliką - 1999 rok.

Fot. Franciszek Natanek

Historia limanowskiego szkolnictwa powszechnego w pigułce

Stanisław Ociepka

Początki szkolnictwa podstawowego w Limanowej datuje się od drugiej połowy XVI wieku. Pierwsza wzmianka pochodzi z roku 1596. Była to mała szkółka parafialna. Mieściła się ona w niewielkim budynku, składającym się z izby lekcyjnej, pokoju sypialnego i kuchni, w którym mieszkał i nauczał kierownik (rektor) szkoły. Ze względu na szczupłość pomieszczeń w roku 1618 wybudowano nowy budynek szkoły w sąsiedztwie kościoła. Funkcjonowanie tej szkoły możliwe było dzięki fundacji utworzonej w 1630 roku przez Achacego Przyłęckiego właściciela Limanowej. W szkole tej w zdecydowanej większości pobierali nauki synowie mieszczan limanowskich. Niestety budynek ten podzielił los miasta, pałac się doszczętnie w pożarze 1769 roku. Trzy

lata później (1772 r.) następuje pierwszy rozbiór Polski, a oświata w małym miasteczku praktycznie przestaje funkcjonować. Dopiero po reformach oświatowych w monarchii austriackiej powstała w mieście szkoła trywialna, do której obowiązkowo miały uczęszczać dzieci do 12 roku życia. Zasada ta praktycznie nie była przestrzegana.

W roku 1842 proboszcz limanowski ks. Jan Warpęcha zakupił parcelę w Rynku, przy kościele, pod budowę nowej szkoły. Na placu tym w roku następnym postawiono budynek z dwoma salami i mieszkaniem dla nauczyciela. Już w roku szk. 1844/45 do szkoły w Limanowej uczęszczało 67 chłopców i 61 dziewcząt, a liczba uczniów gwałtownie zaczęła wzrastać po roku 1849, kiedy to władze powróciły

do egzekwowania obowiązku posyłania na naukę dzieci w wieku 6-12 lat.

Wraz z wprowadzeniem autonomii w Galicji zmieniły się zasady funkcjonowania całego systemu szkolnictwa. W 1866 r. powołano do życia Radę Szkolną Krajową, której podporządkowano całe szkolnictwo ludowe i średnie. W Limanowej w roku 1879 powołano szkołę czteroklasową. Rejon szkoły limanowskiej obejmował miasto oraz cztery okoliczne wsie: Lipowe, Mordarkę, Sowliny i Starą Wieś.

Powołanie do życia Okręgowej Rady Szkolnej w Limanowej w roku 1888 umożliwiło przekształcenie wielu szkół parafialnych w ludowe. Tak stało się w Limanowej. Szkoła ludowa w Limanowej w Rynku, obok starego drewnianego



Dzieci i młodzież w czasie obchodów Święta Niepodległości 11 listopada - lata trzydzieste XX wieku



Przed nowym budynkiem Szkoły Żeńskiej w Limanowej - 1934 rok

► kościoła wzniesiona przez ks. Warpęchę została rozbudowana w 1877 r. o jedno piętro. Pomimo tego na początku XX wieku budynek nie wystarczył na potrzeby znacznie większej ilości uczniów. Lekcje odbywały się także w budynku parafialnym koło starej apteki oraz w wynajmowanych pomieszczeniach na terenie browaru. Od roku 1891 szkołę przekształcono w pięcioklasową. Początkowy jej rozwój, aż do roku 1888, związany był ze Stanisławem Hudzickim, który kierował nią jeszcze jako szkółką parafialną w okresie przed autonomicznym. Kolejnym kierownikiem tej szkoły był Józef Sikora, który pozostawał na stanowisku aż do śmierci: zmarł krótko po wybuchu wojny w 1914 roku. Jego następcą został Teofil Szumański wybitny kartograf, późniejszy współpracownik Eugeniusza Romera (czytaj artykuł „Limanowa miasto wybitnych geografów i kartografów”). Kiedy w roku 1917 Teofil Szumański wyjechał do Lwowa, na jego miejsce powołano Stanisława Krzanowskiego, który po roku kierowania szkołą został powołany na stanowisko inspektora limanowskiego, a kierownictwo szkoły przejął Franciszek Lubojemski, będąc kierownikiem do 1925 roku.

Limanowa ze swoją jedyną szkołą ludową nie była silnym ośrodkiem edukacyjnym. Niewielka grupa młodzieży kontynuowała naukę w szkole średniej w Nowym Sączu. Jan Sitowski, właściciel majątku i dworu w Mordarce, w swoich pamiętnikach wspomina o dziewięciu uczniach z Limanowej uczęszczających przed I wojną światową do gimnazjum w Nowym Sączu.

Działania wojenne spowodowały dalsze załamanie w szkolnictwie. W grudniu 1914 roku budynek oraz zabudowania szkoły zostały zniszczone przez zakwaterowane w nich oddziały żołnierzy węgierskich. Po wojnie baza szkolna praktycznie nie istniała.

Odzyskanie niepodległości państwowej pod koniec 1918 roku stworzyło nowe warunki działania i rozwoju oświaty. W roku szkolnym 1918/19 koedukacyjna dotychczas szkoła ludowa została podzielona na szkołę męską i żeńską, przy zachowaniu dotychczasowego stopnia organizacyjnego tzn. szkoły pięcioklasowej. Kierownictwo szkoły męskiej objął wspomniany już Franciszek Lubojemski, a w roku szkolnym 1925/26 kierownikiem został Stanisław Ceglarz, który funkcję tę pełnił do wybuchu II wojny światowej.

Kierownictwo szkoły żeńskiej od jej utworzenia objęła Paulina Kępianka, pełniła tę funkcję do 1923 roku. Od 1 sierpnia 1923 roku kierownikiem szkoły została Wiktoria Maletowa, żona naczelnika sądu grodzkiego dr. Stanisława Małety. Funkcję tę pełniła do 1936 roku, kiedy ponownie szkoły połączono w jedną koedukacyjną.

W obwodzie szkół limanowskich (żeńskiej i męskiej) znalazły się również dzieci z Mordarki, Starej Wsi, Lipowego i Sowlin, gdzie istniały tylko szkoły filialne, zwane wtedy eksponowanymi. W roku 1920 stopień organizacyjny obu szkół został podniesiony do sześciu klas. Jednocześnie usamodzielniała się szkoła w Starej Wsi jako jednoklasowa, a szkoła w Sowlinach, przyjęła stopień organizacyjny szkoły czteroklasowej.

W roku szkolnym 1920/21 stopień organizacyjny szkół limanowskich stał się w pełni zorganizowanymi szkołami powszechnymi, tzn. szkołami siedmioklasowymi. W Limanowej w roku szkolnym 1923/24 w szkole męskiej uczyło się 318 uczniów, a w szkole żeńskiej 362 uczennice. Obie szkoły (męska i żeńska) utrzymały dotychczasowy stopień organizacyjny zgodnie z Uchwałą z 17 lutego

1922 roku, która zakładała różne stopnie organizacyjne w zależności od liczby dzieci. Pracę nauczycieli limanowskich szkół utrudniały przede wszystkim złe warunki lokalowe, a także brak pomocy naukowych. W wyniku wojny wyposażenie szkół zostało całkowicie zniszczone.

Największą bolączką szkolnictwa limanowskiego w okresie międzywojennym był brak pomieszczeń. Utworzona w roku 1918 szkoła żeńska praktycznie nie miała swojego lokalu. Szkoła prowadziła zajęcia w trzech budynkach: w szkole ludowej – dwie sale, w pomieszczeniach w browarze – trzy sale i w budynku parafialnym – dwie sale.

Nie mniej trudne warunki miała szkoła męska, która mieściła się w rynku, obok kościoła, zbudowana pod koniec XVIII wieku, a rozbudowana w 1877 r. W budynku mieściło się sześć sal lekcyjnych, kancelaria i kuchnia. Brak było kanalizacji. Nie było też boiska sportowego, a niewielki placyk przed szkołą zajęty był przez prymitywne ustępy i drewnię. Zajęcia gimnastyczne latem prowadzono na boisku „Sokoła” w rejonie „Kamieńca” (obecnie plac targowy). Tak więc priorytetem szkolnictwa w Limanowej była zmiana warunków lokalowych. Rozpoczęto batalię o budowę nowej szkoły. Przełomowe znaczenie



Powyżej: Spotkanie nauczycieli z ks. Kazimierzem Łazarskim (siedzi 4 od lewej), ostatni Stanisław Ceglarsz. Stoją w trzecim rzędzie od lewej: Tomasz Bieda (trzeci), dr Stanisław Maleta, Marcei Bursztyn, Franciszek Bogacz, Mieczysław Mordarski, Władysław Oleś. W rzędzie drugim: Eugenia Wolf (trzecia z lewej), Maria Kalisz (piąta), Franciszka Ceglarsz (siódma). Początek lat trzydziestych XX wieku.

Poniżej: Grupa chłopców na placu przed Szkołą Powszechną w Limanowej. Koniec lat trzydziestych



Dzieci po przedstawieniu na placu pod „Sokołem”. Pośrodku: Wiktoria Maleta - kierownik Szkoły Powszechniej Żeńskiej, obok Franciszka Ceglarsz. Lata 30. XX w.

► w tej kwestii miał rok szkolny 1925/26, w którym kończyła się kadencja dotychczasowych władz miasta, niesprzyjających oświacie. Po wyborach we władzach miejskich znalazło się dwóch nauczycieli: Stanisław Ceglarz i Franciszek Bogacz. Pod ich wpływem Rada Miasta jednogłośnie przyjęła uchwałę o budowie nowej szkoły. Powołano komitet budowy, któremu przewodniczył Marceli Bursztyn, burmistrz Limanowej, sekretarzem został dr Stanisław Małeta naczelnik sądu, a skarbnikiem Stanisław Ceglarz. W skład komitetu weszli szanowani mieszkańcy naszego miasta: Zdzisław Bączkowski - aptekarz, Jan Hammerschlag - adwokat, Mojżesz Blech - kupiec, Ignacy Dąbrowski - szewc, Józef Wojs - piekarz, Maksymilian Geisler - inżynier, Józef Marcinkiewicz - murarz i ks. Kazimierz Łazarski - limanowski proboszcz. Budowa szkoły zależna była od kondycji finansowej miasta i gmin sąsiednich, które przysyłały dzieci do szkoły limanowskiej. Projekt budynku opracował architekt z Nowego Sącza Jan Wojdyga. Miał to być budynek o trzech piętrach. Kiedy po wielu perypetiach związanych z zatwierdzeniem projektu podjęto 14 grudnia 1927 roku ostateczną decyzję o budowie, pojawił się kolejny problem związany z lokalizacją szkoły. Początkowo proponowano plac przy ul. Sądeckiej (obecnie Kościuszki). Ksiądz Kazimierz Łazarski zaproponował bezpłatne odstąpienie placu pod nową szkołę na gruntach kościelnych. Była też możliwość wykupu dogodnego położenia parceli od Adama Ostrowskiego. Ostatecznie do budowy przystąpiono 4 lipca 1929 roku na terenie ogrodów miejskich. Propozycję tę przedstawił Marceli Bursztyn, burmistrz miasta. Jedyne ujemną stroną tej lokalizacji była bliskość nieuregulowanego potoku Mordarka, o czym przekonano się w 1934 roku w czasie powodzi stulecia. W roku 1931 do niewykończonego jeszcze całkowicie budynku wprowadziła się szkoła żeńska. Szkoła męska pozostawała w starym budynku w rynku. Trudności finansowe utrudniały dalszą budowę, a powódź w 1934 r. całkowicie ten postępek zahamowały.

Ostatecznie w roku szkolnym 1935/36 obie szkoły rozpoczęły wspólną działalność w nowym budynku co oznaczało połączenie tych szkół w jedną koedukacyjną placówkę, której kierownikiem został Stanisław Ceglarz. Nowy budynek wyglądał okazale. Mieściło się w nim 13



Uroczystość oddania Szkoły Powszechnej w Limanowej - rok szkolny 1935/36. Stoją: starosta Ludwik Malkowski (z prawej) i kierownik szkoły Stanisław Ceglarz

sal lekcyjnych, jedna pracownia, dwa pomieszczenia na pomoce naukowe, kancelaria, mała świetlica, pokój dla woźnego i mieszkanie kierownika. W szkole pracowało 14 nauczycieli: Maria Błaszczak, Helena Bocheńska, Franciszek Bogacz, Franciszka Ceglarz, Otylia Czczótko, Maria Kalisz, Jan Kalisz, Mieczysław Mordarski, Maria Najwer, Stanisława Oleś, Władysław Oleś, Kazimiera Ptak, Eugenia Wolf i katecheta ks. Stanisław Rysiewicz.

W innej sytuacji lokalowej było szkolnictwo w samodzielnej wówczas gminie Sowliny. Tu prężnie działający Józef Mamak, długoletni wójt tej gminy rozpoczął budowę nowoczesnej szkoły

1925 roku. Warunki finansowe w gminie Sowliny były dobre, bowiem na jej terenie funkcjonowały duże jak na ówczesne czasy zakłady: rafineria nafty, tartak i cegielnia. Józef Mamak konsekwentnie od tych zakładów egzekwował systematyczne płacenie podatków. To ułatwiło mu wykonanie wielu inwestycji na terenie wsi, m.in. budowę nowoczesnej szkoły według projektu syna Wiktora, późniejszego dziekana Wydziału Dróg Wodnych i Regulacji Rzek Politechniki Warszawskiej. Kierownikiem szkoły od 1919 roku został Franciszek Skoczeń, który szkołą kierował z okupacyjną przerwą jeszcze kilka miesięcy po wojnie. W czasie okupacji kierownictwo przejął



W latach okupacji dzieci z Limanowej uczęszczały do szkoły w Sowlinach. Pośrodku Józef Kuchejda - kierownik, Maria Poško (Ociepkowa), ks. Jan Rachwał

Józef Kuchejda, wysiedleńca z Poznania. Szkoła została oddana do użytku w 1929 roku. Tak więc w tym roku obchodziliśmy okrągłe rocznice: 100. szkolnictwa powszechnego oraz 90. oddania do użytku nowego budynku szkolnego.

Wybuch II wojny światowej zmienił całkowicie charakter szkolnictwa. W budynku limanowskiej szkoły 14 grudnia 1939 roku umieszczono grupę wysiedleńców z Poznania, którzy mieszkali tam przez cały 1940 rok. Barbara Jednac – Jackowska (poznanianka) wspominała: „Po jednej stronie korytarza mieszkaliśmy, a po drugiej była moja klasa z moją ulubioną nauczycielką p. Heleną Bocheńską. W lutym 1941 roku szkoła została przejęta przez wojsko niemieckie, gdzie utworzono koszary dla żołnierzy Wehrmachtu. Nas umieszczono przy ul. Rzecznej, a do szkoły chodziliśmy w Sowlinach, której kierownikiem był Józef Kuchejda, także wysiedleńca z Poznania. Przez pewien okres w szkole w Sowlinach prowadzona była nauka, ale i tutaj wnet zaprzestano zajęć, bowiem we wrześniu 1943 roku urządzono tu szpital dla żołnierzy niemieckich, a w starej garbarni magazyny sprzętu sanitarnego”. Limanowa i Sowliny zostały pozbawione budynków szkolnych. W kolejnych latach okupacji

nauka odbywała się w kilku budynkach na obowiązujących zasadach w czasie okupacji hitlerowskiej. Pełna edukacja młodzieży przybrała inną formę. Były to tajne komplety, ale o tym w oddzielnym felietonie.

Fotografie: z pozostawionych pamiątek rodziny Małętów, arch. albumu „Okrucy pamięci”

Dopełnienie

W poprzednim wydaniu „Echa Limanowskiego” ukazał się artykuł pt. „Nowe zaskakujące odkrycie”, w którym opisano powołanie do życia pierwszej szkoły średniej w Limanowej o nazwie: Gimnazjum Koedukacyjne im. Włodzimierza Tetmajera, Towarzystwa Szkoły Średniej. Jako żywo w latach międzywojennych, dyskutowano na temat potrzeby utworzenia szkoły średniej w naszym mieście, o czym świadczą dyskusje prowadzone na łamach gazet regionalnych ukazujących się w tym czasie. Kolejnym odnalezionym artykułem potwierdzającym konieczność utworzenia szkoły średniej w Limanowej jest felieton zatytułowany: „Praca gospodarcza w Limanowszczyźnie”, który ukazał się w „Gazecie Podhalańskiej”, nr 29 z 14 lipca 1929 r., gdzie czytamy: (...) *Jeszcze jedna rzecz jest do zaznaczenia z ostatnich dni. Na komitecie, który zajmuje się utworzeniem w Limanowej prywatnego gimnazjum, reprezentant Związku Podhalań domagał się utworzenia przy gimnazjum internatu dla dzieci rolników, aby im umożliwić korzystanie ze szkoły i nie obciążać wysokimi wydatkami na stacje po miastach. Wniosek ten przyjęto, tym bardziej, że jak dotąd zgłosiło się do gimnazjum tylko 2 synów chłopskich, a reszta z miasta. Po wtóre przyjęto w zasadzie wniosek, aby czynić starania o otwarcie przy gimnazjum klasy wstępnej, aby dzieci ze wsi, tam gdzie nie ma klasy: 5, 6, 7, mogły przechodzić do gimnazjum, jeśli się prywatnie kształciły.*

Niezwykły telefon z okresu międzywojennego

Znany Czytelnikom „Echa Limanowskiego” felietonista Marek Pankiewicz, miłośnik artefaktów (staroci) związanych z Ziemią Limanowską, które stanowią materialne dobra kultury, nie poprzestaje na ich ochronie. Mogliśmy się o tym przekonać w naszym dwumiesięczniku, gdy prezentowaliśmy: kiścień (cep bojowy) odnaleziony w rzece Łososina, austriacki artyleryjski tasak z czasu bitwy na Jabłońcu, prezentowany w Regionalnym Muzeum Ziemi Limanowskiej w 100. rocznicę bitwy, czy sygnaturkę z wieżyczki kaplicy w Sowlinach, która przekazana na ręce śp. prałata Jana Bukowca, bogaci zbiory parafii sowlińskiej.

Tym razem przedstawiamy historię unikalnego telefonu z okresu międzywojennego, który p. Marek przekazał w darze Muzeum Okręgowemu w Nowym Sączu.



Telefon polski MB/2B 38M z lat 30. XX w., ze zbiorów Marka Pankiewicza. Fot. Oskar Pankiewicz

Przedmiotem darowizny był: Telefon Polski MB/ ZB 38M wyprodukowany przez Państwowe Zakłady Tele-i Radiotechniczne (PZT) w Warszawie. Telefon z okresu międzywojennego, typ: sekretarsko-dyrektorski, pochodzi prawdopodobnie z lat 30-tych XX wieku.

Jaka jest jego historia?

Właściciel owego telefonu tak opisuje jego dzieje: *Telefon ten zobaczyłem po raz pierwszy na początku lat 80. ubiegłego wieku. Po tzw. „złagodzeniu warunków stanu wojennego” powróciłem do pracy w kierownictwie ówczesnych KSSD Kłęczany. O dziwo, po uprzednim „pozbawieniu praw kierowania zespołami ludzkimi” i pozbawieniu funkcji Szttygara Strzałowego, zostałem awansowany na Kierownika Robót Górniczych. W tym czasie budynek dyrekcji kamieniołomów wyposażony*

został w nowoczesną jak na owe czasy, automatyczną centralę telefoniczną, w odrębnym, klimatyzowanym pomieszczeniu. Opiekował się nią emerytowany kolejarz, specjalista od łączności telefonicznej. Co jakiś czas przyjeżdżał do Kłęczan doglądać i konserwować zajmujące całą ścianę instalacje samoczynnych przełączników telefonicznych. Pewnego dnia odebrałem od niego telefon z zaproszeniem „panie inżynierze, proszę wpaść do mnie do centrali – czas przeczyścić styki”. Zasiadliśmy przy małym stoliku, na którym czekały obok jakiegoś starego telefonu, dwie świeżo zaparzone szklanki herbaty.

Gospodarz sięgnął do jakiegoś tajemniczego schowka, z którego ku memu zdziwieniu wydobyl butelkę czystego spirytusu, po czym kilkoma kroplami jej zawartości „wzmocnił” zawartość herbaty.

To był dla mnie szok. Czas „prohibicji” stanu wojennego (wódka na kartki), a tu jestem częstowany herbatą „z prądem”. Sympatyczny gospodarz centrali telefonicznej wyjaśnił mi, że instrukcja obsługi „tego wynalazku” wymaga od czasu do czasu przeczyszczenia blaszek stykowych łączących wybierane numery połączeń czystym spirytusem, o którego przydział wystarał się u dyrektora. Wspomniał, że wysmiał jego propozycję zastąpienia tego szlachetnego płynu dezynfekcyjnym pospolitym denaturatem!

Spędziłem przy tej herbatce krótką przerwę w pracy, pogadując przy dźwięku „pykających” przy ścianie, automatycznych styków łączących w tym czasie prowadzone rozmowy telefoniczne.

Na telefoniczne hasło „panie inżynierze – czas przeczyścić styki” odwiedzałem zapraszającego konserwatora centrali jeszcze wiele razy.

Towarzyszący nam przy herbatce, stojący na biurku tajemniczy zabytek wzbudzał moje zainteresowanie. Gospodarz wyjaśnił mi jego pochodzenie. Otóż w 1946 roku upaństwowiono prywatną spółkę w Kłęczanach, zajmującą się już od 1912 r. wydobywaniem piaskowca w pięciu odrębnych „łomach kamienia”. Dyrekcję nowo utworzonego przedsiębiorstwa „Kłęczzańskie Kamieniołomy Drogowe” ulokowano początkowo w Nowym Sączu. Podczas modernizacji łączności telefonicznej nowosądeckiego magistratu, przekazano dyrekcji kłęczzańskich kamieniołomów, zbędny już aparat telefoniczny z sekretariatu Urzędu Miasta. Służył on w Kłęczanach jeszcze długie lata, do czasu likwidacji ręcznej centrali telefonicznej z nieśmiertelnymi kablowymi włącznikami. Później poniewierał się pomiędzy innymi bezwartościowymi rupieciami, do czasu aż trafił w ręce mego towarzysza herbacianych spotkań.

Nie wiem z jakiego powodu, ale polubiłem tę zabytkową aparaturę wraz z demonstrowaną mi przez fachowca obsługą tajemniczych przełączników z zagadkowym guzikiem pod słuchawką.

Po przemianach ustrojowych, gdzieś około 1990 roku, budynek dyrekcji Kopalń Skalnych Surowców Drogowych

„SKALDROG” w Kłęczanach i po przekazaniu kamieniołomów: Wierchomla, Osielec i Wysoczany odpowiednim gminom, stracił rację bytu. Budynek ten miał zostać przekazany gminie Chełmiec na Dom Pomocy Społecznej. Wówczas mój towarzysz od „przeczyszczania styków” uznał, że reszta zbędnego dobytku kamieniołomu trafi już bezpowrotnie na śmietnik historii i zaproponował mi zaopiekowanie się tym telefonem, o ile zechcę dźwigać go do domu, bo ten przedwojenny rupieć nie ma jakiegokolwiek wartości.

W głębi duszy czułem, że poza wartością złomu, skrywa w sobie jakąś tajemnicę przeszłości minionych lat i przewiozłem go któregoś dnia koleją transwersalną do Limanowej. Mój związek z kamieniołomem dobiegał końca. Po wielu latach pracy w Kłęczanach ten rozdział w moim życiu został zamknięty, a czas tam spędzony przypominał mi, jak później się okazało telefon „burmistrza Sichrawy”.

Na początku lat 90. przeczytałem z zachwytem książkę Antoniego Kroha „O Szwajku i o nas”. Rzeczywistość przerosła moje oczekiwania. Odnalazłem w niej wzmiankę o bezprecedensowym, chwalebny zachowaniu burmistrza Romana Sichrawy w czasie początków okupacji hitlerowskiej 1939 roku. Zmuszony przez Stadtkomisarza Heina do dostarczenia na rozkaz gestapo listy zakładników złożonej z najszacowniejszych obywateli Nowego Sącza, Sichrawa wpisał na niej 10 razy swoje nazwisko – „aby historia nie miała do niego pretensji, że skazał kogoś na śmierć”. Jestem pełen uznania, że mimo swego czeskiego rodowodu, okazał tym heroicznym gestem szczerzy polski patriotyzm w tamtych odległych, pełnych grozy czasach.

Od tamtej pory ten historyczny telefon z sekretariatu dzielnego burmistrza zdobi na honorowym miejscu półkę mojej biblioteczki, wraz ze zdobytą ostatnio wizytówką: „**Dr Roman Sichrawa/ Burmistrz/ Królewskiego wolnego miasta Nowy Sącz**”.

W miesiącu maju br. oficjalnie telefon ten Marek Pankiewicz przekazał do Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu. Ekspонат ten został udostępniony zwiedzającym już w „Noc Muzeów 2019”.

Darczyńca zaś otrzymał stosowny adres z wyrazami szacunku od Roberta Ślusarka – dyrektora Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu następującej treści: **Szanowny Panie!/ Serdecznie dziękuję za zaufanie i przekazanie w darze do**



Ekspozycja telefonu z lat międzywojennych w Muzeum Regionalnym w Nowym Sączu w czasie „Nocy Muzeów 2019”. Fot. Muzeum Regionalne w Nowym Sączu

zbiorów Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu bardzo wartościowego i unikatowego telefonu, który łączy się z historią Nowego Sącza./ Ten niezwykle dar wzbogaci i uzupełni ekspozycję stałą w Gmachu Głównym dotyczącą dziejów naszego miasta okresu międzywojennego./ Pana dar został zarejestrowany w ewidencji zbiorów.

Dopełnienie

Kim był Roman Sichrawa?

Urodził się 1869 r. w Myślenicach. W Tarnowie ukończył Gimnazjum im. Brodzińskiego, a potem prawo i administrację na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie w 1895 r. obronił doktorat. W tym samym roku ożenił się Anną Benoni. Rok potem osiedlili się w Nowym Sączu, gdzie urodziła się córka – Stefania Romana, późniejsza nauczycielka i pisarka. Rodzina zamieszkała w Rynku 10. Od 1890 roku prowadził indywidualną praktykę adwokacką.

Sichrawa angażował się społecznie na początku w działalność „Sokoła”, który w mieście stawił pierwsze kroki. W roku 1898 współtworzył Uniwersytet Ludowy, a w 1903 r. Towarzystwo Pomocy Przemysłowej, którego potem został prezesem. Był także współzałożycielem Towarzystwa Tatrzańskiego „Beskid”. W roku 1907 r. zaczął pracować jako radny w ratuszu.

Po wybuchu I wojny światowej burmistrz Barbacki ewakuował się z miasta. Stąd, 19 listopada 1914 r., Sichrawa, jako radny z najdłuższym stażem, z niesmakiem oddawał klucze miasta w rosyjskie ręce. Trzy tygodnie później uradowany witał Józefa Piłsudskiego z legionistami po zwycięskiej bitwie pod Marcinkowicami.

W 1919 r. został zastępcą burmistrza Wiktora Oleksego i funkcję tę pełnił do 1924, nie rezygnując z aktywności społecznej, a wręcz ją zwiększając. W 1920 roku Sichrawa zostaje prezesem klubu

sportowego „Sandecji”. Zaś w roku 1925 najpierw obejmuje funkcję Komisarza Rządowego dla miasta, a od grudnia 1927 r. burmistrza. Urząd pełnił do 1933 r., kiedy sam, zmęczony i schorowany zrezygnował z funkcji. W latach 1921-1931 był prezesem „Sokoła”. Angażował się w wiele komitetów: Towarzystwo Kasynowe, Kasę Oszczędności, Towarzystwo Przyjaciół Harcerstwa, zabiegał o odbudowę twierdzy Jagiellonów, wchodząc w skład Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego. Jako wybitny mówca i wódz miasta witał Marszałka Edwarda Rydza – Śmigłego i prezydenta RP prof. Ignacego Mościckiego. We wrześniu 1939 roku objął ponownie urząd wódcy miasta, tym razem jako jego prezydent. W praktyce Nowym Sączem rządził kpt. Behrens, a dr Sichrawa od 9 września stał na czele Komisarycznego Zarządu Miasta. W październiku Stadtkomisarzem został Niemiec, dr Hein, a sęddecki adwokat był jego zastępcą. Wtedy to, w grudniu 1939 r., 10 razy wpisał na listę straceńców własne nazwisko, przechodząc do historii miasta.

W kamienicy Sichrawy w czasie okupacji działał „Komitet Pomocy Uchodźców”. W trudnych latach okupacji Roman Sichrawa nie poddawał się, pracując dla społeczeństwa. Tuż po zakończeniu wojny, przyjął jeszcze tytuł prezydenta miasta, nieświadomy co niesie nowa władza. Chciał w trudnym okresie, mimo iż był wówczas już ciężko chory pomóc w odbudowie zrujnowanego Nowego Sącza. Zmarł 13 kwietnia 1945 roku.

W 50. rocznicę śmierci dra Romana Sichrawy Rada Miasta i mieszkańcy ufundowali mu tablicę pamiątkową, którą zamontowano w frontonie rodzinnego grobowca Sichrawów na cmentarzu komunalnym w Nowym Sączu, zaś w roku 2018 ze środków Urzędu Miasta przeprowadzona została konserwacja grobowca.

Opracował: Stanisław Ociepka

Tradycje związane z uroczystością Bożego Ciała

Święto Bożego Ciała, którego prawidłowa nazwa brzmi Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, jest jednym z najważniejszych świąt w Kościele katolickim, obchodzonym 60 dni po Wielkanocy. Święto Bożego Ciała jest to nazwa potoczna tej uroczystości. Pamiątkę ustanowienia sakramentu Eucharystii Kościół obchodzi w Wielki Czwartek, zaś Uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, która wyrosła z adoracyjnego kierunku pobożności eucharystycznej rozwijającej się na zachodzie Europy od przełomu XI i XII wieku, przeżywana jest w czwartek po uroczystości Trójcy Świętej. Choć świadomość niezwykłego cudu przemiany konsekrowanego chleba i wina w rzeczywiste Ciało i Krew Chrystusa towarzyszyła wiernym Kościoła od początku, jednak trzeba było czekać ponad dziesięć wieków zanim zewnętrzne przejawy tego kultu powstały i zdomowały się w Kościele katolickim. Z powodu, że jest to święto ruchome może ono przypaść najwcześniej 21 maja, a najpóźniej 24 czerwca. Jednak w wielu krajach świata obchodzone jest w niedzielę po niedzieli Trójcy Świętej. Poniżej przedstawiona zostanie pokrótce historia rodzenia się tego święta.

Historia ustanowienia Święta Bożego Ciała

Bezpośrednią przyczyną ustanowienia tego święta były objawienia św. Julianny z Mont Cornillon (żyła w latach

1193 – 1258). Około 1207 roku Julianna, jako szesnastoletnia dziewczyna, przeżyła pierwsze widzenia, choć były one jeszcze mgliste i niezrozumiałe. Zgodnie z tradycją dopiero kilkanaście lat później, w 1245 roku, Juliannie, wtedy już

mniszce augustiańskiej (była nawet przeoryszą), ukazać miał się Chrystus, który w widzeniu domagał się ustanowienia święta Eucharystii na pierwszy czwartek po święcie Trójcy Przenajświętszej. Pod wpływem tych objawień miejscowy biskup Robert z Thourotte ustanowił w 1246 roku święto Bożego Ciała, dla diecezji Liege (miasto w dzisiejszej Belgii) oraz zainaugurował pierwszą procesję eucharystyczną ulicami miasta. W 1252 roku legat papieski rozszerzył to święto na teren dzisiejszych Niemiec. Wkrótce zaczęto jednak wysuwać przeciwko Juliannie oskarżenia o herezję, a decyzję o wprowadzeniu święta Bożego Ciała w diecezji Liege, uznano za przedwczesną. Zarzuty te spowodowały, że święto przestało być obchodzone na kilka lat. Sprawa święta nie została jednak zapomniana. Problemem tym zajął się biskup Verdun Jacques Pantaléon, późniejszy papież Urban IV. W młodości,



Procesja Bożego Ciała na limanowskim rynku w 1939 roku

jako archidiakon w Liege miał styczność z św. Julianną. Do ostatecznego uznania święta Bożego Ciała za ogólnie kościelne, papieża Urbana dopiero skłonił jednak cud eucharystyczny, jaki miał miejsce w 1263 roku w Bolsenie w środkowych Włoszech. Tam w czasie jednej z mszy św., podczas przemienienia, odprawiający kapłan zauważyć miał, że z konsekrowanej hostii zaczęły spadać krople krwi na ołtarz. Poplamiony krwią korporał został przesłany natychmiast papieżowi, który w tym czasie przebywał w niedalekim Orvieto w Umbrii. Urban IV umieścił relikwię w jednej z kaplic w tamtejszej katedrze. 11 sierpnia 1264 roku papież Urban IV wydał bullę „Transiturus de hoc mundo”, na mocy której Boże Ciało miało stać się świętem całego Kościoła katolickiego. Ułożenie liturgii i tekstów odczytywanych w czasie święta papież zlecił miał samemu św. Tomaszowi z Akwinu, który na tę okazję stworzył hymn „Pange lingua”. Nagła śmierć Urbana IV przeszkodziła jednak ogłoszeniu bulli. Dokonał tego dopiero papież Jan XXII w 1317 roku, natomiast papież Bonifacy IX polecił w 1391 roku wprowadzić święto Bożego Ciała wszędzie tam, gdzie jeszcze nie było ono obchodzone.

W Polsce pierwszy raz obchodzono to święto w Krakowie w 1320 roku. Polecił je obchodzić w diecezji krakowskiej, jako pierwszy biskup Nanker.

Procesje eucharystyczne w święto Bożego Ciała

Procesje eucharystyczne w dzień Bożego Ciała wprowadzono później niż samo święto. Pierwszym śladem jej istnienia jest wzmianka o uroczystej procesji przed sumą w tę uroczystość w Kolonii w latach 1265 – 1275. Podczas procesji niesiono krzyż z Najświętszym Sakramentem. W XV wieku procesje eucharystyczne odprawiano w tym dniu już w całych Niemczech, Anglii, Francji, północnej Italii i Polsce. W Niemczech procesję w uroczystość Bożego Ciała łączono z procesją błagalną o odwrócenie nieszczęść i dobrą pogodę, dlatego przy czterech ołtarzach śpiewano teksty Ewangelii i udzielano uroczystego błogosławieństwa. W Polsce pierwsza procesja Bożego Ciała przeszła po katedrze wawelskiej w Krakowie. Niedługo potem podobne procesje urządzone już w Gnieźnie, Poznaniu, Wrocławiu, Płocku. Ceremoniał katedry płockiej,



Przez dziesiątki lat jeden z czterech ołtarzy (trzeci) znajdował się w południowej pierzei rynku na froncie kamienicy Tomasza Biedy - burmistrza Limanowej. Powyżej: T. Bieda stoi drugi z lewej. Poniżej: szósty z prawej. Fotografie pochodzą z lat trzydziestych XX wieku



Procesja Bożego Ciała wzdłuż północno-wschodniej pierzei rynku- lata sześćdziesiąte XX wieku



Procesja Bożego Ciała na limanowskim rynku w 1985 roku. Pierwszy ołtarz na tle SDT



Drugi ołtarz na budynku restauracji „Myśliwska”

► pochodzący z XIV wieku, podaje pierwszy opis takiej procesji w Polsce.

Procesję tę odprawiano z wielkim przepychem od początku jej wprowadzenia. Od czasu zakwestionowania tych form praktyk religijnych przez reformację, udział w procesji traktowano, jako publiczne wyznanie wiary. Od czasów rozbiorów w Polsce z udziałem w procesji łączyła się manifestacja przynależności narodowej. W czasie okupacji hitlerowskiej Niemcy zakazali urządzania procesji Bożego Ciała. Po II wojnie światowej procesje odbywały się jeszcze po ulicach miast i wsi, by w późniejszym okresie w związku z zakazem władz przenieść je na teren wokoło kościoła.

Podczas okupacji Niemcy zabronili procesji w tym dniu. Zaraz po zakończeniu II wojny światowej procesje odbywały się na rynku tak jak przed wojną, lecz w latach stalinowskiego terroru musiały przenieść się na teren przy kościele. Po odwilży w 1956 roku procesje na kilka lat powróciły na limanowski rynek, by po zaostrzeniu polityki wobec Kościoła przez ekipę Gomułki na początku lat 60. XX wieku, w związku z zakazem władz na około ćwierć wieku przenieść się na teren w okolicy limanowskiej świątyni. W latach 60. i 70. oraz na początku lat 80. procesje przechodziły po terenie dzisiejszego placu Koronacyjnego i parkingu

przed plebanią. Tam też ustawiane były cztery ołtarze. Po pierwszej pielgrzymce papieża Jana Pawła II do Polski oraz powstaniu Solidarności w Limanowej wyrażono zgodę na powrót na rynek procesji w Boże Ciało.

W latach 40. i 50. XX wieku procesja Bożego Ciała w Limanowej – Sowlinach przechodziła po zabudowaniach dawnego osiedla pracowników rafinerii oraz głównych ulicach tej części miasta. Później w związku z zakazem władz komunistycznych procesja odbywała się po terenie najbliższej drewnianej kaplicy, która stała na placu pomiędzy ulicami Fabryczną a dzisiejszą Witosa.

Obchody Bożego Ciała i procesje na Ziemi Limanowskiej

W Limanowej procesje w uroczystość Bożego Ciała odbywały się w dawnych czasach najpierw zapewne na terenie wokół drewnianego kościoła parafialnego, aby w późniejszym okresie przenieść się na ulice miasta i rynek. Nie wiadomo kiedy dokładnie w Limanowej procesja wyszła na ulice, ale jest pewne, że w okresie międzywojennym procesja przechodziła przez rynek i tam znajdowały się niektóre z czterech ołtarzy. Możemy zobaczyć to na zachowanych archiwalnych fotografiach z lat 20. i 30. XX wieku oraz przeczytać we wspomnieniach limanowian żyjących w tym okresie.



Ołtarz Solidarności - 1981 rok. Fotografia: Zbigniew Sułkowski



Czwarty ołtarz na tle budynków handlowych PZGS. Fotografie: Zbigniew Dutka



W okresie PRL-u zakazano urządzania procesji po ulicach miejscowości i wsi na Ziemi Limanowskiej. Odbywały się one wtedy wokół kościołów. Po 1989 roku w wielu miejscowościach na Ziemi Limanowskiej procesje zaczęły ponownie przechodzić głównymi drogami i ulicami. Tak jest między innymi w Mszanie Dolnej, Tymbarku, Dobrej, Słopicach i wielu innych.

Obecnie w procesjach biorą udział całe wspólnoty parafialne. Maszerują w niej strażacy z OSP, poczty sztandarowe różnych organizacji i instytucji, władze samorządowe, orkiestry i zespoły regionalne oraz zwykli wierni często w strojach ludowych. W wielu miejscowościach tak jak w Limanowej ubrani w stroje ludowe ludzie niosą różne feretrony, figury i chorągwie, a małe dzieci sypią kwiaty i dzwonią dzwoneczkami.

Fotografie: arch. albumu „Okrucy pamięci”



Procesja Bożego Ciała w Sowlinach. Ołtarze znajdowały się na budynkach porafineryjnych

Wózek z dworca 80 halerzy – DWORCOWA LIMANOWA

Z dworca 1 km – wózek 80 halerzy. Cytacik z kilkunastowyrazowej informacji o miasteczku, jaką dr Mieczysław Orłowicz zamieścił w „Ilustrowanym przewodniku po Galicji” wydanym w 1914 r. Chociaż na owym dworcu kolejowym widniały tablice LIMANOWA, administracyjnie leżał na terenie wsi Sowliny, podobnie jak lakonicznie w „Orłowiczu” wzmiankowana o 3 km odległa rafineria nafty – oficjalnie się lokalizująca w Limanowej.



W Młynnem, przed mostem w kierunku Limanowej. W bryczce Klementyna Zubrzycka, córka burmistrza Walerego Zubrzyckiego. Fotografia sprzed I wojny światowej. Bryczka porusza się lewą stroną drogi, bo w tym czasie na terenie Austro-Węgier obowiązywał ruch lewostronny

Czytającemu przewodnik dziwne być może, że Limanowej poświęcono znacznie mniej miejsca niż większości innych miejscowości wzdłuż „sztreki” Chabówka – Nowy Sącz, ale cóż? Ani zabytków, ani atrakcyjniejszych szczytów górskich tu nie było. Pozostaniemy więc na razie przy tym wózku do miasta za 80 halerzy.

Podanie tej kwoty do wiadomości podróżujących świadczy o istnieniu obowiązującej taryfy, prawdopodobnie przez zarząd miasta ustanowionej. Czyli jakiś porządek w komunikacji miejscowej obowiązywał. A ten bliżej nie określony wózek? No cóż, dorożki miejskie, pewnie nawet resorowane, pojawiły się w Limanowej w dwudziestolecie. Wujek mój opowiadał, że korzystał z nich czasem, gdy jako uczeń przyjeżdżał koleją,

pewnie z cięższym bagażem z Nowego Sącza. Ze stacji do „Reymanówki” przy obecnej Orkana, gdzie mieszkali, nie tak daleko, ale i niedrogo musiało być, jeśli ucznia było stać na taki ekspens.

Po roku 1945 konnych dorożek w Limanowej już nie było. Po części pewnie ze względów ekonomicznych, po części ideologicznych, bo po co komu ten burżuazyjny zbytek? Zresztą kto chciał ze sprzężajnego transportu skorzystać, bez trudu mógł zamówić odpowiedni. Właściciele koni w mieście i na jego obrzeżach nie brakowało. Trakcji konnej w Limanowej używał też do lat pięćdziesiątych i dłużej „sektor publiczny” – w największym stopniu Rejonowa Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu, powstała w byłej rafinerii baza CPN i funkcjonująca przy niej do lat pięćdziesiątych bednarnia. CPN dysponował też wytworną bryczką na wysokich kołach, służącą też czasem za bardziej elegancki... karawan.

Konia i „wózek” osobowo – towarowy posiadał też Szpital Powiatowy w Sowlinach. Pojazd ten do lat sześćdziesiątych służył przede wszystkim do podwożenia z Limanowej do pracy jednego z doktorów, który, jak ordynator Bogucki



Na rynku limanowskim, autobus firmy Joniec-Tomaszek (stoją pośrodku) kursujący na linii Limanowa-Kraków w latach międzywojennych

z „Zazdrości i medycyny” Choromańskiego, miał idiosynkrazję do samochodów. Gdy szpitalny koń i wózek padły w końcu ofiarą postępu, doktor zmuszony był do skorzystania z autobusów PKS, które kursując w różne strony, na odcinku Sowliny – Limanowa, spełniały rolę komunikacji miejskiej.

– Świat się kończy! Dziady autobusami jeżdżą – dziwił się nasz, to jest sowlińskich wyrostków „guru”, pan Mieczysław, gdy baba proszalna oznajmiła mu, że się spieszy na autobus do miasta.

Dziady ówczesne nie jeździły jeszcze taksówkami. Pierwsza taka – pana Biernata – pojawiła się w Limanowej w latach 1950 – tych, najpierw był to jakiś samochód przedwojenny, później jak wszędzie, M-20 Warszawa. Taksówek stopniowo przybywało, choć przez długie lata liczba ich nie przekraczała dziesięciu. Postój miały, jak Bóg przykazał, w honorowym miejscu rynku, pod Florianem, a gdy Floriana zabrakło, do dziś oczekują na klienta wzdłuż północnej pierzei rynku.

Na rynku był też przystanek PKS; rozrosły w kilka stanowisk nabrał charakteru dworca, tym bardziej, gdy w jednym z budynków po południowej stronie urządzono kasę biletową z poczekalnią.

Niezależnie od tego od lat 50-tych gadało się – oficjalnie i prywatnie na temat miejskiej komunikacji masowej. A jeśli już, to czemu nie od razu nobilitujący tramwaj – w tamtym czasie nieodzowny element wielkomiejskiego krajobrazu. Jeszcze dalej i śmieiej sięgał tekst zapomnianej dziś piosenki „Limanowa śpi, o swej przyszłości śni...” snujący wizję kolejki linowej na Łysą Górę. Licentia poetica (prawo poezji do przekraczania zasad prawdopodobieństwa). Ale na przełomie lat 60/70 zespół młodych architektów powiatowego wydziału urbanistyki opracowywał plan rozwoju Limanowej (z okazałą makietą), w którym przewidywano taką inwestycję. Dolną stację kolejki sytuowano na tzw. Kamieńcu, czyli w centrum miasta, górną na Miejskiej Górze. Tak więc na całym przebiegu byłby to też środek komunikacji miejskiej.

W sferze planów realnych pozostawała jednak miejska komunikacja autobusowa i taka w końcu powstała w 1969 roku. Tabor stanowiło kilka mocno steranych Ikarusów 620 odstępionych przez warszawskie MZK. Opatrzone jeszcze trzy cyfrowymi numerami inwentarzowymi i niedbale zamalowaną syrenką, ale już



Postój taksówek na limanowskim rynku lata 60. XX wieku



Autobusy PKS na Rynku – 1969 rok

także herbem Limanowej obsługiwały początkowo dwie linie. 1: Limanowa – Laskowa i 2: Łososina Górna – Stara Wieś.

Skorodowane rury wydechowe Ikarusów wydawały z daleka słyszalny ryk, więc autobusy te potocznie nazywano „Krwawymi Iwanami” lub „Czerwoną Śmiercią”. Nie odstraszało to pasażerów korzystających z owego miejsko – wiejskiego transportu z humorem, gdy pierwszy raz do „Krwawego Iwana” wsiałem i konduktorka zawołała do kierowcy – Proszę zamknąć! (chodziło jej o drzwi) jakiś dowcipny pasażer głośno dodał – Proszę zamknąć oczy!

Gdy jakiś czas później rozpoczynaliśmy wędrowkę po górach z Bielska – Białej i podjeżdżaliśmy pod Szyndzielnię takim samym, lecz pewnie młodszym Ikarusem 620, kolega zauważył – A jednak mogą być cichsze!

A limanowskie Ikarusy miały jedną niewątpliwą zaletę – były pojemne i co ważne w terenie górskim, miały mocne silniki. Zresztą niedługo zostały zastąpione przez równie pojemne, całkiem nowe Jelcze 706 („ogórki”). Bo i linii w międzyczasie zaczęło przybywać – do Pisarzowej i Męciny, na Raszówkę i do Siekierzyny. A kolejnym nabytkiem ►

były średniej wielkości autobusy San H-100 B, zastąpione z kolei przez udany model średniego autobusu Autosan H9 – 35. Warto też odnotować, że w latach 80-tych kursował po mieście prototypowy model miejskiego Autosana, który w końcu nie wszedł do produkcji, ale wygląd miał imponujący. Ostatnim z typów użytkowanych przez limanowskie MZK były autobusy Jelcz – Berliet.

A ilość obsługiwanych linii wzrosła do siedmiu. Owa ostanía „7” była wyłącznie miejska – od POM-u (dziś Tesco) na Witosa do Bazy PKS na Zygmunta Augusta.

Po transformacji 1989 przybyła w Limanowej zarówno komunalnej komunikacji, jak i prywatnym taksówkom poważna konkurencja – Firma Minibus dysponująca początkowo 10 – osobowymi Nysami, za to kursującymi bardzo często.

Poprzedni system ekonomiczno – ideologiczny dopuszczał istnienie prywatnego samochodowego transportu towarowego. Ba! – w latach 80-tych państwowa gospodarka w olbrzymim stopniu na nim się opierała. Natomiast z tajemnych względów prywatny osobowy transport samochodowy powyżej taksówki był urzędowo wykluczony. I na fali zmian – co nie jest zakazane, jest dozwolone – limanowski Minibus bezsensowny impas przełamał. Była to pierwsza tego typu inicjatywa w Polsce. Prezentowała to ówczesna TVP, więc pewnie prawda. A dziś już mało kto o tym pamięta.

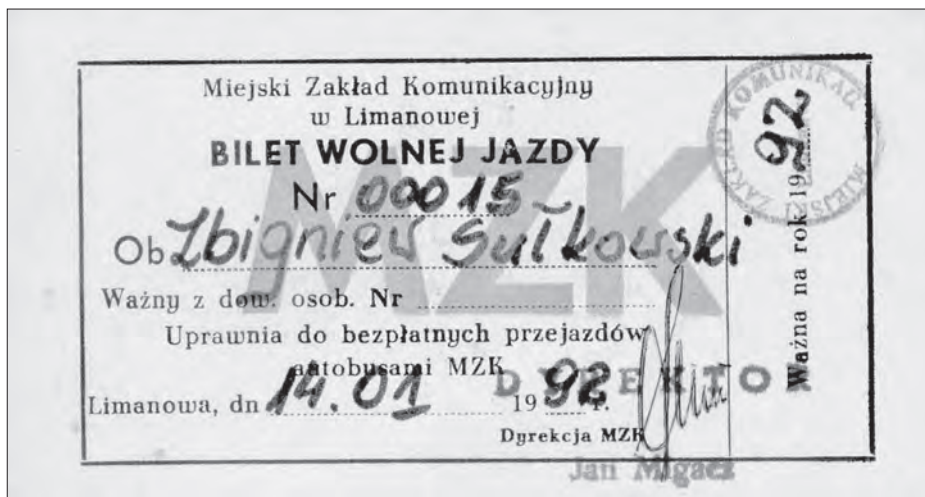
Okazało się też po początkowych zgrzytach, że w limanowskiej komunikacji jest dość miejsca dla wszystkich trzech sektorów – Minibusa, taksówek i czerwonych autobusów MZK. To ostatnie przedsiębiorstwo również uzupełniło swój tabor o kilka Nysek. Niestety, po oddzieleniu się gminy MZK zostało przez miasto rozwiązane, a tabor przejął miejscowy Oddział PKS.

Tak zakończyły się dzieje czerwonych autobusów w Limanowej. Po naszym MZK zostało niewiele zdjęć, a ja zachowałem jeszcze bilet wolnej jazdy otrzymany w nagrodę za pomyślną mediację z koleją o przystanek autobusu przy dworcu PKP.

Nastała epoka busów – małych i trochę mniej małych, wszystkich jednakowo ciasnych, ale przecież one dla pospólstwa, którego nie stać na własny samochód.

A teraz przypowieść.

Czytałem gdzieś, że przed laty w jakimś niemieckim mieście zapragnął postawić



dom wybitny muzyk, lekki schizofrenik i ekscentryk. Wytyczył na ziemi odpowiadający mu prostokąt i zatrudnionym murarzem polecił – Wznóście, dobrzy ludzie, mury!

Praca ruszyła z kopyta, mury rosły szybko, aż gospodarz zawołał – Dość, ludzie, dość, wyżej nie trzeba! Zaciekawieni gapie patrzyli na sześcienną budowlę, prostą bryłę nie rozbitą żadnym gzymsem czy otworem. Ale wnet padła nowa komenda – Hej, ludzie, wybijcie mi tu okno. I pojawiło się okno w dziwnym miejscu – A teraz, ludzie, tu! – w miejscu jeszcze dziwniejszym. Zbiegli się rozbawieni sąsiedzi, zakładano się o miejsce gdzie powstanie kolejne okno, a ono z hukiem wykuwanych cegieł pojawiała się w miejscu zupełnie nie do przewidzenia.

Puenta? Wszyscy byli zadowoleni – właściciel, bo miał dom powstały w akcie twórczym, widzowie, bo się pośmiaли i murarze, bo wzięli uczciwą zapłatę.

Teraz wróćmy do tematu zasadniczego – gdzie miały miejsce lub lepiej gdzie nie miały miejsca przystanki limanowskich MKS-ów? Spróbuję z zastrzeżeniem prawa dla błędów i pominąć.

Więc najpierw na zachodniej pierzei Rynku. Niebawem jednak Rynek zaczęto generalnie przebudowywać, PKS wyniósł się na nowy dworzec przy ul Targowej, a miejskim autobusom postój w centrum wyznaczono na ul. Kilińskiego. Przeładowane startowały stamtąd zaryznająco pod górę – sam byłem świadkiem, jak dwa z nich spaliły sprzęgło. No to za czas jakiś przystanek przeniesiono na ul. Mordarskiego naprzeciw dzisiejszej poczty. W międzyczasie uruchomiono nowe linie, więc pomyślano i o nowych przystankach dla nich i „3” do Pisarzowej kursowała z przystanku koło dworca PKS, bardzo słusznie, bo z ul. Targowej

do Pisarzowej bliżej, dwie kolejne linie miały postój na zapleczu Małego Rynku. Tak więc starty i falstarty w kierunku Sowlin były jak powrót kawalera do domu – o niepewnej godzinie i z różnych miejsc. Kto chciał koniecznie zdążyć do pracy w Sowlinach autobusem, to najlepiej jak od razu poszedł pod stację, którędy wszystkie przejeżdżały. A jak nie, to stamtąd do Sowlin już niedaleko.

1989 rok przełamał niemożliwe, i znów na Rynku powstał przystanek komunikacji miejskiej. Nie na długo. Autobusy upadły, Minibusy opierały się jakiś czas, ale je w końcu gdzieś wypchnięto, kto wie czy nie na plac przy ul. Kilińskiego?

Wreszcie miejskie busy znalazły się w najsensowniejszym w mieście miejscu – na Małym Rynku. I tak było, było i nie jest. Więc gdzie są przystanki? Czy nie ważniejsze, gdzie będą?

Wg śp. prof. Modzelewskiego ludzką miarą wszechczasów są dzieje i „będzieje”. Spotkani na początku roku najcelniejsi będzieje tutejsi zakłęli mnie, że „już za parę dni, za dni parę” otwarty plac maneżowy – czy jak mu tam – wszystkie bóle komunikacyjne ukoi.

Dałem będziejom jeszcze parę miesięcy i zaszedłem na plac przy Targowej. Nawet jakiś bus stoi. Kierowca znajomy, mówi, że tak zajechał spokojnie papierosa wypalić.

Za to na niedokończonej ławeczce przysiadł jakiś bard przechodni i przy gitarze, zamiast jakimś busem, jedzie sobie Soyką:

*Otchłań nie ma nogi, nie ma też ogona,
leży obok drogi na wznak odwrócona.
Otchłań nie je, nie pije i nie daje mleka –
co robi otchłań? Otchłań czeka.*

Przeto z przeżegnaniem ukradkiem się oddaliłem. To już druga otchłań przydrożna, obok której dziś przeszedłem.



Dwa Jelcze 706 na ul. Kilińskiego - 1973 rok



Ikarus 620 i San H100B - 1970 rok



Dworzec na limanowskim rynku, lata sześćdziesiąte

**Fotografie ze zbiorów:
Zbigniewa Sułkowskiego**

Minibus na przystanku przy dworcu PKS - 1993 rok.
Fot. Zbigniew Dutka





Jubilaci wraz z profesorami (rocznik matury 1969) przed głównym portalem limanowskiej bazyliki

Nasz Złoty Jubileusz

Halina Sułkowska

*„Dobrze wiemy, że minęło lat niemało,
lecz marzenia i tęsknoty jeszcze mamy,
jeszcze pniemy się do góry, choć pomału
i tak łatwo gryźć czasowi się nie damy.
Jeszcze mamy w sobie witalności wiele,
nowe hobby, albo stare, jak kto woli,
ciekawości świata w jego pięknym dziele,
by przeżycia, uniesienia z nas wyzwolić!
Wznieśmy toast za energię i za zdrowie,
byśmy wszyscy żyli długo i szczęśliwie
za spotkanie w takim fajnym, miłym gronie
choć płynący czas pobielił nasze skronie!”*
(Album „Szaujmy wspomnienia 2019”)

8 czerwca 2019 odbyło się spotkanie absolwentów Liceum Ogólnokształcącego im. W. Orkana w Limanowej – rocznik 1969. W spotkaniu wzięło udział 80 osób przybyłych tak z kraju, jak i z zagranicy (USA, Niemcy, Austria, Szwecja). To jeden z najliczniejszych roczników. Naukę w 1965 roku rozpoczęliśmy jako ostatni z siedmioklasowej szkoły podstawowej. Po zdaniu egzaminu wstępnego – pisemnego i ustnego – z języka polskiego i matematyki zostaliśmy umieszczeni w sześciu klasach od „a” do „f” w liczbie 236 osób (160 dziewcząt i 76 chłopców).



Klasa XI a z profesorami (od lewej siedzą): Piotr Chmiel, Janina Cybura, Aleksander Banaś, Anna Mruk - obecna dyrektor liceum, Romana Czaplńska-Wojtas, Aniela Zboś

Utworzono cztery klasy koedukacyjne (VIII a, VIII b, VIII d, i VIII e) oraz dwie klasy żeńskie (VIII c i VIII f). Nauka trwała 4 lata, a roczniki liczone od klasy VIII-mej do XI-tej. Wychowawcami poszczególnych klas byli: prof. Aleksander

Banaś i prof. Olga Illukiewicz - klasa „a”; prof. Józef Zboś - klasa „b”; prof. Maria Lupa i prof. Józef Staniszewski - klasa „c”; prof. Antoni Boczulski i prof. Aniela Zboś - klasa „d”; prof. Zofia Wazio - klasa „e”; prof. Janina Cybura - klasa „f”.

Dyrektorem liceum był wówczas prof. Wilhelm Tabor a zastępcą prof. Józef Zboś. Maturę w maju 1969 roku zdało 200 osób. I tak od 1984 roku spotykamy się regularnie co 5 lat, by wspominać piękne czasy.

Każde z nas inaczej pamięta i inaczej, na swój sposób, ocenia swoją szkołę średnią. Dla wielu z nas był to krótki etap na trudnej drodze edukacji, ale moim zdaniem, był to etap najważniejszy. Lata szkoły średniej przypadają bowiem na okres kształtowania naszych charakterów i osobowości. Słowa uznania i podziękowania kierujemy pod adresem naszych profesorów i wychowawców, którzy pomagali nam mądrze wkroczyć w dorosłość.

Czas nieubłaganie biegnie – 19 profesorów nas uczących oraz 26 kolegów i koleżanek już nie żyje – zachowajmy ich w naszej pamięci. Wśród żyjących naszych profesorów wymienić należy: Aleksandra Banasia, Janinę Cyburę, Mariana Cyconia, Piotra Chmiela, Romanę Czaplińską-Wojtas, Annę Jasicę, Franciszka Kościsz, Stanisława Kurzeję, Teresę Sokołowską-Biedroń, Teresę Wrzaszczyk i Anielę Zboś. Niewielu z wyżej wymienionych było naszymi specjalnymi gośćmi, a to: Janina Cybura, Romana Czaplińska-Wojtas, Aniela Zboś, Aleksander Banaś i Piotr Chmiel, który przybył aż z Niemiec.

Nasze spotkanie odbyło się 8 czerwca 2019 r., a rozdanie dyplomów i pożegnanie maturzystów naszego rocznika odbyło się 9 czerwca 1969 r. – czyli dokładnie 50 lat temu.

Każde spotkanie rocznicowe jest okazją do wspomnień, refleksji i powrotu pamięcią do lat dawno minionych. 50-lecie to szczególny jubileusz – złoty jubileusz - były gorące powitania, ale w związku z tym, że niektórzy absolwenci byli po raz pierwszy na spotkaniu po 50-ciu latach obawialiśmy się o możliwość rozpoznania. Okazało się, że nie było tak źle.

Zebrałiśmy się przed Bazyliką M. B. Bolesnej w Limanowej i spotkanie rozpoczęliśmy mszą św. sprawowaną przez naszych kolegów księży: Stanisława Wojcieszaka, Mieczysława Banka i Wojciecha Chochoła. Kazanie wygłosił ks. Stanisław Wojcieszak. W rozważaniu odniósł się do słów św. Jana Pawła II wypowiedzianych przed 20 laty w czasie pielgrzymki do Polski: „*Ale się wam wydarzyło...*” Powołał się też na słowa Pisma Świętego: „*Przypomnijcie sobie dawniejsze dni*” (Hbr. 10,23) oraz na zalecenie



W budynku liceum - 8 czerwca 2019 roku

► Starego Testamentu: „*Będziecie święcić pięćdziesiąty rok ... Będzie to dla was jubileusz... Będzie to sprawa święta*” (Kpł. 25.10) W czasie eucharystii modlitwą objęli nas, obecnych, naszych bliskich i wszystkich, którzy już odeszli.

W przeddzień naszego zjazdu grupa absolwentów odwiedziła miejscowe i okoliczne cmentarze, aby na grobach profesorów oraz naszych koleżanek i kolegów, w ciszy i zadumie, zapalić znicze i położyć symboliczny kwiat w dowód pamięci. Za zmarłych, których groby znajdują się poza Limanową, zapaliliśmy znicze pod krzyżem na placu kościelnym przy Bazylice. Po wykonaniu okolicznościowego zdjęcia całej grupy udaliśmy się do szkoły, gdzie gościła nas dyr. Anna Mruk i umożliwiła nam przyjrzenie się obecnym salom, pracowniom, abyśmy mogli zaobserwować pozytywne zmiany w wyglądzie i wyposażeniu szkoły. Byliśmy pod wrażeniem tego, że szkoła jest pięknie wyremontowana, wyposażona i utrzymana. Jesteśmy dumni, że kiedyś to była nasza szkoła.

Dzisiaj pełna nazwa szkoły brzmi: I Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Orkana. Nieprzypadkowo przywołuję

tę nazwę, ponieważ imię szkole nadano w czasie naszej nauki – 11 listopada 1968 r. Wtedy to też został ufundowany sztandar oraz wykonano płaskorzeźbę Wł. Orkana na frontonie budynku.

Po oficjalnej części zjazdu udaliśmy się wszyscy na uroczystą kolację do wynajętego lokalu. Podczas wspólnego biesiadowania było wiele wspomnień, muzyka i tańce z lat młodości, fajerwerki i niekończące się rozmowy. Wspominaliśmy też tych, którzy byli z nami jeszcze tak niedawno, m. in.: Józefa Kowalczyka, inicjatora i współorganizatora naszych poprzednich spotkań, prof. Jadwigę Kowalczyk, o której Jolanta Bugajska w „Echu Limanowskim nr 248/249/2015” pisze tak: „*Żelazna dama, kobieta zbuntowana, nieznosząca patosu i zakłamania, polonistka dająca lekcje życia? Jak opisać zwykłymi słowami osobowość, która stała się legendą I Liceum Ogólnokształcącego? Nauczycielka i wychowawczyni – to przede wszystkim, ale także koleżanka z pracy, sąsiadka i przyjaciółka. Mowa o pani prof. Jadwidze Kowalczyk przez uczniów i przyjaciół, jakby na przekór dystynkcji, określana pieśczołliwie <Jadzią>*”. Tak niedawno była jeszcze z nami.

Rozmowy, dyskusje, wspomnienia i zabawa trwały do białego rana. Myślę, że dla uczestników naszego spotkania były to niezapomniane i wzruszające przeżycia.

Zjazd został zorganizowany przez grupę osób, którą można określić jako komitet organizacyjny, a byli to: Ryszard Kulma, Jadwiga Kossakowska (Baranowska), Krystyna Kolarz (Gała), Danuta Warszawska-Głąb, Izabela Czarny (Jeż), Maria Szczepankiewicz (Limanówka), Irena Ruggiero (Tąta), ks. Stanisław Wojcieszak, Marek Baczyński, Franciszek Bieda, Zbigniew Szewczyk oraz pisząca to wspomnienie, Halina Sułkowska (Wiłkojć).

W imieniu komitetu organizacyjnego chcę podziękować: dyrektor I LO pani Annie Mruk za miłe przyjęcie w szkole, panu Marianowi Wójtowiczowi za nadanie spotkaniu wspaniałego klimatu, wszystkim, którzy przyczynili się do zorganizowania tego spotkania, nieocenionym sponsorom, którzy są wśród nas – byłych uczniów - uczestników tego spotkania a pragną pozostać anonimowi oraz samym uczestnikom. Mam nadzieję, że nie jest to nasze ostatnie spotkanie, a zatem - **do miłego zobaczenia!**

Fotografie: Michał Wojtas



Absolwenci Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława Orkana w Limanowej - rocznik 1969. Złoty Jubileusz matury - 2019 rok

Otwarcie Izby Pamięci

Przemysław Bukowiec

1 Pułku Strzelców Podhalańskich AK w Słopnicach

W sobotę 18 maja, o godz. 18⁰⁰ w remizie OSP w Słopnicach Górnych miało miejsce otwarcie Izby Pamięci 1. Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej. Organizatorami przedsięwzięcia było Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznych 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK oraz Gmina Słopnice. Celem imprezy było podsumowanie kilkuletnich badań i poszukiwań prowadzonych przez członków stowarzyszenia oraz współpracujących organizacji w rejonie masywu Mogielicy w Beskidzie Wyspowym oraz otwarcie nowego obiektu o walorach turystyczno-edukacyjnych.



Relacje świadka historii, żołnierza 1. PSP AK, Andrzeja Urbańca „Grzechotnika”

Tajemnice Mogielicy z czasu II wojny światowej

W prezentacji multimedialnej przygotowanej przez Przemysława Bukowca, nauczyciela historii oraz członka stowarzyszenia na wyświetlanych slajdach została zawarta historia działalności słopnickiego stowarzyszenia na przestrzeni ostatnich siedmiu lat. Oprócz pracy rekonstrukcyjnej w sposób szczególny nawiązano do rozpoczęcia w 2013 r. pierwszych poszukiwań i lokalizacji obozu legendarnego oddziału partyzanckiego AK „Wilka”. Oddział w 1944 r. stacjonował na pograniczu Beskidu Wyspowego i Gorców na południowych zboczach Mogielicy. Dzięki nawiązaniu stałej współpracy między Stowarzyszeniem, Gminą Słopnice oraz Nadleśnictwem Limanowa, w ciągu ostatnich pięciu lat wokół Mogielicy oddano 25 kilometrów oznakowanych ścieżek historycznych: *Ścieżka historyczno-edukacyjna*

im. kpt. Juliana Krzewickiego „Filipa” oraz Ścieżka Oddziału Partyzanckiego AK „Wilka”. W 2015 r. powstała podobna ścieżka w Tymbarku. W 2017 r. zrekonstruowano na stałe i otwarto dla turystów obóz partyzancki oddziału „Wilka”. Większość przedmiotów wydobytych podczas badań na terenie obozu znalazło się na ekspozycjach w nowo otwartej Izbie Pamięci. Prezentację urozmaicił zbiór fotografii z prowadzonych badań nad obozowiskiem pod nadzorem archeologa oraz szereg prac poszukiwawczo-rekonstrukcyjnych, które miały miejsce w latach 2012-2019. Przebieg prac i poszukiwań w obozie oraz rys historyczny oddziału „Wilka” przybliżył dr Dawid Golik z Oddziału IPN w Krakowie (Biuro do spraw Poszukiwań i Identyfikacji). W czasie prelekcji prezentowano współczesne fotografie historycznych miejsc z terenu Beskidu Wyspowego, pochodzące z partyzanckich zbiorów i kolekcji.

Ostatni świadek historii

Spotkanie zaszczyliło obecnością świadkowie historii, przedstawiciele rodzin żołnierzy AK, w tym Pan Andrzej Urbaniec z małżonką Marią. Pan Andrzej w czasie niemieckiej okupacji, w 1944 r. trafił z Warszawy do Łącka, a następnie do oddziału „Wilka” na Mogielicy. W konspiracji przyjął pseudonim „Grzechotnik”. We wrześniu tego samego roku znalazł się w I batalionie 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK. W czasie spotkania Pan Andrzej podzielił się swoimi wspomnieniami z okresu działalności w konspiracji i służby w leśnym wojsku. Ponadto w otwarciu Izby wzięli udział: dr mjr Janusz Kamocki „Mamut”, Pani Jadwiga Plucińska – Piksa, córka oficera podhalańskiego pułku – Andrzeja Plucińskiego „Głowackiego”, Jerzy Krzewicki z małżonką Katarzyną – syn ostatniego Komendanta Obwodu AK Limanowa – mjr. Juliana Krzewickiego „Flipa”, rodzina Jana Połomskiego „Dęba” – komendanta placówki AK „Kuznia” – Kamienica-Słopnice oraz członkowie rodzin i osób związanych z konspiracją na Ziemi Limanowskiej. W czasie uroczystości nie zabrakło sympatyków historii regionu oraz przedstawicieli i stowarzyszeń współpracujących na co dzień z rekonstruktorami ze Słopnic.

Po zakończonych prelekcjach delegacje: Stowarzyszenia z prezesem Sławomirem Szubrytem oraz z Gminy Słopnice z Panem Adamem Sołtysem – Wójtem Gminy, złożyły wiązanki i znicze pod pomnikiem partyzanckim obok remizy OSP. Ksiądz Proboszcz Stanisław Kumiega odmówił modlitwę za poległych i ofiary niemieckiej okupacji w czasie II wojny światowej oraz poświęcił Izbę Pamięci. Symbolicznego przecięcia wstęgi dokonali: Andrzej Urbaniec, dr mjr Janusz Kamocki, dr Jerzy Krzewicki oraz Władysława Poręba.

(ciąg dalszy na stronie 47)
Fotoreportaż na stronie 34

Kierat 2019 w obiektywie

Tegoroczny XVI MEMP obył się już po raz trzeci poza Limanową. Na starcie w Słopnicach stanęło 566 uczestników. Sklasyfikowano 565 w tym 484 mężczyzn i 81 kobiet. Do mety dotarło 383 uczestników, czyli 69% startujących, w tym 45 zawodniczek.

Tym razem trasa maratonu prowadziła w kierunku południowo-wschodnim. Maraton Kierat pierwszy raz w swojej piętnastoletniej historii zawitał w Beskidzie Sądeckim wkraczając na teren gościnnej Gminy Łącko. Trasa tegorocznego maratonu miała 14 punktów kontrolnych (PK). Bieg rozpoczął się na stadionie K. S. „Sokół” w Słopnicach i prowadził osiedlowymi drogami do podnóża północnej strony stoku Cichonia (PK1). Następnie uczestników czekało ostre podejście w okolice przełęczy między Cichoniem i Ostrą (PK2), aby następnie kierować się w kierunku wschodnim stoku Okowańca (PK3) i Skiełka gdzie na polanie szczytowej był (PK4). Kolejny już (PK5) to Góra Zyndrama – Pomnik Grunwaldzki w Maszkowicach. Dwa następne punkty kontrolne mieściły się w Obidzy – osiedle Ligasówka (PK6) i osiedle Zagóra na polanie przy kapliczce (PK7). Półmetek to punkt kontrolny (PK8) zlokalizowany w schronisku PTTK na Przehybie. Następny łatwy nawigacyjnie, lecz po długim odcinku wypadał (PK9) na szczycie góry Błyszcz. (PK10) to osiedle Koziarnia – skrzyżowanie dróg w Ochotnicy Dolnej, zaś (PK11) umiejscowiono przy punkcie widokowym Klenina i potem wschodnim ramieniem Rydzawskiej Grapy przy skrzyżowaniu dróg należało dotrzeć do (PK12). Kolejne dwa ostatnie punkty (PK13 i 14) to baza narciarstwa biegowego w Zalesiu i wzniesienie Dzielec – polana pod szczytem. I dalej już do mety w Słopnicach.

Najszybsi zawodnicy przekroczyli metę o 6:43 w sobotę, uzyskując czas 12 godzin 43 minuty. Dystans ten ex aequo pokonali **Andrzej Brant** z Bełchatowa oraz **Marek Woźniczka** z Siemianowic Śląskich. Trzeci na metę wbiegł **Bartłomiej Karabin** z Dobrej, ze stratą niecałej minuty do zwycięzców. Czwarty na mecie był zeszłoroczny zwycięzca maratonu **Maciej Więcek** z Krakowa. Pierwsza



z kobiet na metę wbiegła **Justyna Frączek-Bogacka** z Krakowa, która pokonała trasę w 14 godzin i 54 minuty, drugą z pań była **Joanna Grabowska** także z Krakowa, trzecią **Marcelina Słomian** z Zabrze, a tuż za nią na mecie pojawiła się **Kamila Matras** z Limanowej. Najlepszym zawodnikiem z Limanowej był **Paweł Michalik** z czasem 14 godzin 35 minut, zajął piętnaste miejsce.

XVI Międzynarodowy Maraton Pieszy Kierat 2019 po stukilometrowej trasie Beskidu Wyspowego i Sądeckiego

przeszedł już do historii. Trzydniowa impreza została zakończona ogłoszeniem wyników i uhonorowaniem zwycięzców. Co jest charakterystyczne dla tej imprezy to: profesjonalizm organizacji, szerokie zaangażowanie wolontariuszy, gościnność gminy Słopnice, a nade wszystko wspaniała atmosfera sportowa. Chciało by się powiedzieć – działacze promujący turystykę pięknej Ziemi Limanowskiej uczcie się od organizatorów MEMP!

Reportaż fotograficzny na stronie 35

ORGANIZACJA PRZYJĘĆ OKOLICZNOŚCIOWYCH

Siwy Brzeg

Restauracja Siwy Brzeg
Limanowa, ul. Br. Czecha 4

tel. 18 3373 878

www.siwybrzeg.pl



NIE BACZĄC NA REMONT
Limanowskiego Domu Kultury
Restauracja **SIWY BRZEG**
Ma się dobrze!

ZAPRASZAMY

do nowych estetycznych sal w których organizujemy:
wesela, bankiety, przyjęcia okolicznościowe i inne

Pyszne jedzenie
Dania na zamówienie
CATERING

Stary Browar

Restauracja Stary Browar
Limanowa, ul. J. Marka 9

tel. 18 337 9999

www.starybrowar.siwybrzeg.pl



Zapraszamy!



Izba Pamięci 1 Pułku Strzelców Podhalańskich AK w Słopnicach

Fot. 1. Wnętrze ekspozycji Izby Pamięci,
 Fot. 2. Oryginalna maszyna do pisania, na której pisał rozkazy Julian Krzewicki,
 Fot. 3 i 4. Materiały wydobyte z obozu 1. PSP AK na Mogielicy w czasie prac i badań archeologicznych.

Fotografie: arch. Gminy Słopnice





XVI MEMP w Słopnicach KIERAT 2019

Fot. 1. Początek rywalizacji,
Fot. 2. Na trasie XVI MEMP,
Fot. 3. Zwycięzcy: Andrzej Brant z Bełchatowa oraz Marek Woźniczka z Siemianowic Śląskich,
Fot. 4. Zwycięzcy maratonu z Andrzejem Sochoniem - budowniczym trasy i sędzią głównym Kieratu (pierwszy z lewej), Adamem Sołtysem - wójtem Gminy Słopnice oraz Andrzejem Pilawskim - dyrektorem generalnym Kieratu (z prawej).

Fotografie: Anna Strug,
Tomasz Baranowski





Producent Środków Czystości
od 1991 roku

golddrop.eu



**Polecamy się
do expresowych porządków!**

Gold Drop Sp. z o.o., ul. Rzečna 11d, 34-600 Limanowa,
tel. 18 3376137

Limanowianin

– Józef Wrona (1910–1989)

Wybrane epizody z jego życia

W tym roku 23 maja minęło 30 lat od śmierci Józefa W r o n y, limanowianina, zasłużonego dla miasta, a podziwianego przez rodzinę, bliskich, krewnych i znajomych. Urodził się 4 lipca 1910 r. w Sowlinach (obecnie dzielnica Limanowej), a tak naprawdę w limanowskich Sowlinach, gdyż ta część Sowlin od zawsze należała i należy do parafii limanowskiej. Urodził się w nowo zbudowanym domu (obecnie ul. Jerzego Żuławskiego), zamieszkanym przez rodzinę od 1908 r., gdyż wcześniej Szymon i Katarzyna mieszkali we dworze Marsów, gdzie Szymon (ojciec Józefa) był nadwornym stolarzem i rzeźbiarzem i tam urodziła mu się w 1906 r. pierwsza córka Stefania, którą do chrztu trzymała pani Marsowa i Józef Alojzy Bek, sekretarz Rady Powiatowej.

Dzieciństwo

Gdy Józef przyszedł na świat, jako trzecie dziecko Katarzyny z Wilczków rodem z Pasierbca i Szymona Wrony, zwanego Symcokiem, radość w rodzinie była tym większa, że był przedłużeniem rodu w prostej, męskiej linii i jej kontynuatorem. Został ochrzczony w starym, XVIII-wiecznym kościele drewnianym, tzw. II kościele limanowskim, który rok później został rozebrany, by ustąpić miejsca obecnej, pomnikowej świątyni, dedykowanej 100-rocznicy Konstytucji 3 Maja (dzisiaj zacna limanowska bazylika kolegiacka). Na chrzcie otrzymał imię po stryju Józefie (bracie ojca). Stryj był obyty w świecie, gdyż dwukrotnie przebywał w Ameryce (Północnej) i o niej często pisał, gdy przychodził do Rodziców na niedzielne obiady. Pamiętam te opowiadania jako chłopiec, gdy stryj-dziadek podkreślając sumiastego wąsa (*à la* Franciszek Józef I), snuł barwne opowiadania, a gdy robiło się późno wyjmował z kieszonki zegarek, wiszący na dewizce, by sprawdzić nieubłaganie uciekający czas. Mówił wówczas jakby do siebie: *Komu w drogę, temu czas. Ale przyjdą znów*, dopowiadała Mamusia staropolskim zwrotem grzecznościowym, a stryj już na odchodnym, podkreślając „cesarskiego” wąsa, półgłosem, jakby mówiąc na stronie, dodawał: *Jak Bóg pozwoli, przyjdę zaś*.

Mały Józio od 4 roku życia nie miał już kontaktu z ojcem Szymonem (z jednym wyjątkiem, o nim za chwilę), gdyż ten był na wojnie, a w 7 roku życia został

pólsierotą jak i jego starsze siostry Stefania i Julia oraz najmłodsza Marysia. A historia dramatu rodzinnego pokrótce tak się spiętrzała: Szymon (1877–1917) miał wyjechać do Ameryki. Sprzedał parcelę (kawałek pola ze swojej działki) niejakemu Pyrkowi (który stał się jego sąsiadem) i za otrzymane pieniądze wykupił bilet na statek tzw. Schiffkartę i miał wyjechać za Wielką Wodę. Tuż przed wyjazdem otrzymał od brata Józefa, który od paru miesięcy przebywał już w Ameryce (jako swego rodzaju *vorpoczta*), list o następującej treści: *Szymonie! Nie przyjeżdżaj! Pracy na razie nie ma*. W międzyczasie wybuchła I wojna światowa i Szymon został powołany do armii austriacko-węgierskiej. Jego żona Katarzyna Wroźyna wraz z dziećmi (Stenią, Julcią, Józkiem i roczną Marysią) musiała opuścić dom rodzinny (został zajęty przez wojsko austriacko-węgierskie i przekształcony w tymczasowy lazaret) i udała się przez Łososinę i Gliniarki polną drożyną do swojego ojca Mikołaja do rodzinnego Pasierbca. Wróciła dopiero po świętach Bożego Narodzenia, gdy po zwycięskiej bitwie wojsk austriacko-węgierskich pod Jabłońcem przywrócony został taki spokój. Zajęła się naprawianiem domu (ganek był spalony, mieszkania zdemolowane, chociaż meble <<oprócz zegara>>, wykonane przez Szymona, były nietknięte). Z frontu włoskiego Szymon pisał piękne listy do żony, pytając w nich o jej zdrowie, zatroskany był o dzieci i ich wychowanie. Z listów płynie piękne przesłanie dla potomnych: Szymon był

Można oczy zamknąć na rzeczywistość, ale nie na wspomnienia.
(Stanisław Jerzy Lec, Myśli nieuczesane)



Józef Wrona (1910-1989)

zakochany w żonie i urodziwych, mądrych dzieciach. Sam był postawnym, przystojnym mężczyzną. Gdy pewnego razu zapytałem wujka Jaśka z Pasierbca (kuzyna Taty), co wie o moim dziadku Szymonie, który w konkursie uderzał do jego Cioci, wówczas powiedział mi tak: „Józio, gdybyś ty go widział: jaki to był <<piękny chłop>>: nieco wyższy od Twojego Ojca, o pięknej, uśmiechniętej twarzy, kruczoczarnych włosach i mądrych, głęboko osadzonych oczach. Nosił długi płaszcz, sięgający poniżej kolan, o którym niejeden chłopak z Pasierbca mógł tylko pomarzyć. Był świetnym stolarzem-artystą”.

Tymczasem Szymon w październiku 1915 r. został przewieziony do miejscowości Frydek Mistek, by 10 stycznia 1916 r. trafić na front włoski. Po zdobyciu miasta Comen, w maju 1916 r., był na przepustce w domu rodzinnym (przy dzisiejszej ulicy Żuławskiego), o którym

► to spotkaniu nasz Tatus tak wspominał: *Jakiś mężczyzna trzymał mnie na kolanach. Po latach Mama przypomniała mi o tym – dodawał – mówiąc, że był to mój Ojciec, ale ja Go – tak naprawdę – nie znałem. Zachowało się pamiątkowe zdjęcie z tego spotkania, zamieszczone w *Okruchach Pamięci*¹. Szymon walczący z XI dywizją podczas zdobywania skalistego wzgórza w 1917 r. poległ pod Doberdo². Jego krótki biogram zamieściłem w „Almanachu Ziemi Limanowskiej”³.*

Żona Katarzyna, nie mając żadnej wiadomości o losach męża, czekała na jego powrót tak długo, jak to tylko kobiety potrafią. Była jeszcze młodą 33-letnią kobietą i nie dopuszczała do siebie owej myśli, że mąż mógł zginąć (mimo iż od rządu polskiego po 1918 r. otrzymała zawiadomienie o tragedii męża, ale i tak w to nie wierzyła). I tak trwała w swym przekonaniu sądząc, że wiadomość o śmierci to jawna pomyłka i Szymon niebawem wróci, a teraz z pewnością jest w Stanach, bo o nich tak bardzo marzył. To był jej sposób na przetrwanie, a czas robił swoje. Wprawdzie nie uleczył ran, ale troski dnia codziennego (wychowanie dzieci, ich wyżywienie itd.) wypychały na plan dalszy jej dramat, tragedię, która dotknęła tylu rodzin w Polsce, których synowie, walcząc za Austrię i cesarza, ginęli na polach bitewnych (przykład Jabłońca aż nadto o tym mówi). Rok od śmierci Szymona Polska wybiła się na niepodległość, ale utraciła tylu wspinających synów. Łzy radości z odzyskanej Ojczyzny mieszały się ze łzami tragedii po utracie Ojca i męża... Zostały: ból i wspomnienia. *Wolność nie była nam dana za darmo – mówiła Katarzyna do swoich dzieci. Wasz Ojciec Szymon o nią walczył, poświęcił życie.*

Młodość i dorosłe życie

Sytuacja życiowa sprawiła, iż Józef dorastał szybciej niż jego rówieśnicy, gdyż musiał wspomagać rodzinę, uczestnicząc w jej utrzymaniu. Rano szedł do szkoły, która mieściła się w domu Kalety, a później w nowo wybudowanej, mniejszej willi (przy obecnej ul. Krakowskiej). W drodze powrotnej do domu skrzętnie powtarzał materiał przerabiany w szkole. „Nie miałem czasu – mówił do nas Tatus – gdyż po szkole brałem wypraną bieliznę, którą przygotowała Mama i zanosilem do Dziadka Mikołaja na Pasierbiec. Z kolei od Dziadka brałem wiktuały (chleb, mleko itp.) i przynosiłem do domu. W domu



Rodzina Wronów, drugi z lewej siedzi Szymon Wrona, artysta - snycerz - rzeźbiarz i stolarz. Wykonał wiele prac stolarskich w dworze Marsów oraz w limanowskim kościele - 1916 rok

przebierałem się i na jednej nodze, czyli bardzo szybko biegłem do krzaków po gałęzie, czyli chrust, by można było dom nieco ogrzać”.

Józef był podporą i filarem rodziny. Pomagając Mamie, udzielając się także społecznie i patriotycznie dojrzewał wraz z pokoleniem, które miało odegrać czołową rolę w okresie międzywojennym oraz w czasie II wojny światowej – w mrocznych czasach okupacji. On i jego rodacy przygotowywali się do pomocy tej, w którą nigdy nie zwątpili. Ponad wszystko Polskę ukochał, dla niej pracował, cierpiał, dla niej żył. Takie było wówczas wychowanie młodego pokolenia. Jedną z ulubionych przez Ojca patriotycznych melodii była piosenka: *Wisła moja, Wisła stara, dokąd wartko płyniesz?*, którą „wyspiewywał” również na skrzypcach (bo wielu jest grajków, ale mało „śpiewaków”, którzy potrafią na skrzypcach wyspiewać to, co im w duszy gra). Wisła płynęła do Gdańska, ale to piękne średniowieczne i zarazem nowożytne miasto – dodawał Ojciec – było pod zaborem, pod zarządem i wreszcie okupacją niemiecką. Jak bardzo się cieszył, gdy po wojnie stary, polski Gdańsk powrócił do Polski.

Józef był niezwykle człowiekiem, dobrym synem, bardzo pracowitym, pobożnym, wiernym limanowianinem i żarliwym patriotą, który należał do „Strzelca”. Była to organizacja, wywodząca się z założonego w 1908 r. przez Kazimierza Sosnkowskiego tajnego Związku Walki Czynnej (ZWC),

który w 1910 r. powołał się na jawnych Stowarzyszeń „Strzelca”, którego głównym komendantem był Józef Piłsudski. „Strzelec” był ośrodkiem myśli patriotycznej, a poprzez ćwiczenia (gimnastyczne i sportowe) i hartowanie ciała (w zawodach), przygotowywał młodych chłopców do przyszłej walki przeciwko zaborcom. Tatus udzielał się, zgodnie z założeniami „Strzelca”, społecznie i sportowo. Jeszcze jako mały chłopiec znalazłem na strychu jego kijki narciarskie i zapytałem Tatę wprost: *Co to takiego?* Wówczas opowiedział mi o swojej pasji i zawodach narciarskich (chyba powiatowych). Jego maksymą nigdy nie wypowiedzianą wprawdzie, ale zauważalną gołym okiem przez każdego, kto go znał i obserwował, było: *W zdrowym ciele zdrowy duch*. Pracował fizycznie, uprawiał sport, świetnie pływał, ale koronną jego dyscypliną – jak już wspomniałem – były biegi narciarskie, za które w okresie międzywojennym na zawodach zdobył jedno z czołowych miejsc. Szkoda, że nie zapamiętałem, które? Czy jest to jeszcze do sprawdzenia? Wziął także udział w biegach przełajowych z Rynku limanowskiego do Tymbarku (i z powrotem,) które wygrał. Ale nigdy się tym nie przechwalał.

Po ukończeniu szkoły powszechnej, Józef poszedł do tzw. przemysłówki (była to szkoła średnia, przyzakładowa), by uczyć się w niej zawodu elektryka. Uzupełniał swoje kwalifikacje zawodowe na kursach w Krakowie, tak że można o nim powiedzieć, iż był elektrykiem – technikiem.

Pracował w różnych miejscach, również w rafinerii w Sowlinach, gdzie poznał wspaniałego człowieka, pod którym jakiś czas pracował, a mianowicie Rudolfa Seidlera, którego bardzo cenił i wiele się od niego nauczył. Po likwidacji rafinerii, jeździł w poszukiwaniu pracy niemal po całej Polsce (często wspominał o braku pracy w II Rzeczypospolitej). Pomagał w wykształceniu swoim siostrą Stefie, Julii, a przede wszystkim Marysi, która dzięki jego pomocy finansowej ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Nowym Sączu.

Lata okupacji hitlerowskiej

Po wkroczeniu Niemiec hitlerowskich do Polski, rodzina Marsów wywoziła na Wschód w okolice Lwowa swoje skarby rodowe. Marsowie, którzy mieli zaufanie do Tatusia, poprosili go, by towarzyszył im w tej długiej podróży: nie odmówił. Pojechał z nimi, a potem pieszo wracał szuwarami i grzęzawiskami spod Lwowa do Przemyśla, a stamtąd dopiero koleją do Limanowej.

Przed wojną i po wybuchu wojny pracował w Garbarni Skór w Sowlinach. Za przynależność do „Organizacji Orła Białego”⁴ w czasie okupacji, zadenuncjowany przez limanowskiego konfidenta⁵, aresztowany został na początku 1943 r. i znalazł się w nowosądeckim gestapo, a następnie w więzieniu. Torturowany, wisiał np. u sufitu głową w dół (tzw. słupek) przez kilkanaście godzin. Koledzy z celi mówili do niego: „Józek, gdybyś ty widział, jakżeś ty był zбитy (Niemcy bili po plecach, by nie było widać) i cały czarny od zakrzepłej krwi”. Nie mógł ruszać nogami ani rękami. Wydawało mu się, że po takich torturach nigdy nie wróci do zdrowia i nie będzie mógł chodzić. Niemcy, by od niego cokolwiek wydusić, przydzielili mu do celi konfidenta, by z nim rozmawiał, ale Tato był za sprytny, by się dać złapać w taką pułapkę. Słuchał, ale o sobie nic nie mówił. Milczał jak skała. Na ostatnim przesłuchaniu Niemiec powiedział do niego poniekąd z wyrzutem, a może z niedowierzaniem i trochę z podziwem: „Wrona, powiedzcie, czy wy jesteście tacy głupi czy tacy mądrzy?” Odpowiedź na to pytanie narzuca się chyba sama. Na ścianie budynku nowosądeckiego gestapo Tato wyrył swoje nazwisko, które można jeszcze dziś przeczytać – jako dokument czasu⁶.

W nocy przed opuszczeniem więzienia

Tatus miał przedziwny sen, w którym występowały ptaki, które w jego życiu odgrywały sporą rolę: Otóż śniły mu się cztery: dwa skowronki i dwie sikorki, z których trzy zostały z klatki uwolnione: Byli to Józef Wrona (nasz Tatus), Michał Drożdżak i Józef Jeż (jeden z ptaków został – był to Stanisław Obrok wywieziony do Oświęcimia)⁷. Trzeba dopowiedzieć, iż Tatus cudem wyszedł z niemieckiego więzienia (na pewno z uszczerbkiem na zdrowiu). Gdy Jego Mama Katarzyna, a nasza Babcia udała się do Matki Boskiej Limanowskiej, by szukać u Niej ratunku i pociechy oraz prosić ks. Jana Rachwałę o odprawienie Mszy świętej w intencji syna, w rozmowie z ks. Janem Rachwałem rozplakała się, mówiąc. „W pierwszej wojnie straciłam męża, teraz mogę stracić syna, proszę o modlitwę i Mszę świętą w jego intencji”. Wówczas ks. Rachwał tak jej powiedział: *Niech się Pani nie martwi, zobaczy Pani, że niebawem syn wróci, trzeba mieć tylko taką nadzieję.* W niedługim czasie, gdy rodzina przebywała w kościele na Mszy św. odprawianej w jego intencji, jeszcze w trakcie jej trwania Józef wszedł do kościoła i usiadł tuż obok Mamy. Mama i Syn zakrywały oczy, by ukryć ogromne wzruszenie, które było silniejsze niż nakazywałoby miejsce i czas podniosłego nabożeństwa. Po nabożeństwie nie poszedł z Rodziną do domu, gdyż sądził, iż Niemcy wypuścili go tylko po to, by go znów pochwyć i wywieźć do Oświęcimia. Udał się na Pasierbiec i tam ukrywał się do końca wojny (u kuzyna Jana Wilczka, częściowo także w okolicznych lasach). Dlatego też miał ogromny kult do Matki Boskiej Pocieszenia w Pasierbcu. Nie opuścił nigdy odpustu ku Jej czci, pielgrzymując do Niej zawsze pieszo.

Wracając myślami do tamtych dni, Tatus opowiedział nam (dzieciom) po latach, jeszcze jedną ważną historię rodzinną, jakże prawdziwą, chociaż bardzo romantyczną. Otóż, gdy wracał, po wypuszczeniu go z nowosądeckiego gestapo, bezdrożami do Limanowej, na Wysokiem, na polach należących do rodziny Szymona Wilczyńskiego spotkał 14-letnią dziewczynkę, skromnie ubraną, pasącą krowy, którą zapytał wprost, jak najkrócej i bezpiecznie dostać się do Limanowej. Owa dziewczynka, która wskazała mu drogę to Gienia Wilczyńska, która po 6-latach od tamtego przygodnego spotkania, zostając

jego żoną, w dalszym ciągu wskazywała mu nie tylko drogę, ale stała się powierniczką życia do końca jego dni. Gienia Wilczyńska, bo tu należy o niej powiedzieć kilka słów, urodziła się 29 października 1928 r. w Wysokiem (w parafii Kanina). Uczęszczając do szkoły średniej w Limanowej, zamieszkała na stacji u Katarzyny Wroźyny i tam poznała przyszłego męża Józefa. W październiku 1947 r. pobrali się i z czasem doczekali się 6 dzieci, roztaczając pieczę nad nimi, jak ptak skrzydła nad pisklętami w gnieździe, obejmując i zabezpieczając od niebezpieczeństw. Dzieci rozwijały się, chodziły do szkoły i były – jak to się mówi potocznie – skarbem dla Rodziców i rodziny. Wszystkie dzieci ukończyły studia.

„Będę najszczęśliwszą matką pod słońcem,” – powiedziała jedna z matek pięciorga dzieci w audycji interwencyjnej Polskiego Radia w Programie 1, nadanej wieczorem w dniu 2 października 2014 r. – gdy któreś dziecko przyniesie mi indeks wyższej uczelni. Nasi Rodzice nigdy ani w radiu, ani poza nim tak nie mówili, ale cieszyli się z każdego sukcesu dziecka, także z indeksu ukończenia studiów. I tak Danuta Maria została mgr filologii rosyjskiej, Wiesława Helena – prof. dr hab. psychologii, Józef Szymon – mgr filologii germańskiej i dr hab. historii sztuki, Zbigniew Kazimierz – mgr geodezji, Winicjusz Marian – mgr prawa, radcą prawnym, a najmłodsza Alicja Janina – mgr sztuki, absolwentką Akademii Muzycznej w Krakowie w zakresie teorii muzyki i kompozycji, a po latach śpiewaczką opery w Zurychu⁸. Sukcesy dzieci to także wielka zasługa rodziców, którzy spalali się dla swych dzieci i bliźnich jak przysłowiowa żagiew ofiarna. Tatus tyrał, zarabiając na życie, pracując w Łososieńskich Zakładach Przemysłu Drzewnego, a Mamusia, chociaż była nauczycielką z wykształcenia, poświęciła się wychowaniu dzieci w domu. Miała ten przedziwny gen dobroci połączony z odpowiednią postawą religijną. Była bogata duchowo. Życie Ją niosło, miała duże zasoby pogody ducha, niezwykły urok i wewnętrzne ciepło, które zyskiwały Jej powszechną sympatię i grono przyjaciół. Miała do ludzi ton spokojnej uprzejmości. Była autorytetem w środowisku, do której zwracali się sąsiedzi w sprawach trudnych. Towarzyska, komunikatywna o niezwykłej pamięci, która wyrażała się przede wszystkim

► znajomością niezliczonej ilości pieśni patriotycznych, kościelnych i biesiadnych oraz wierszy dla dzieci i młodzieży. Część z nich przekazała swoim dzieciom, wnukom i prawnukom. Przywiązywała dużą wagę do rzeczy duchowych. Można by za Stanisławem Sojką powiedzieć: *Są na tym świecie rzeczy, których nie można kupić*. Do nich należą: uczciwość, prawda, prawdomówność itd. Do nich przywiązywała dużą wagę. Nie przywiązywała większej wagi do rzeczy materialnych, chociaż cieszyła się, gdy otrzymywała jakąś ładną rzecz i mogła się z nią pokazać, np. miała piękną kolekcję torebek, które otrzymała m.in. od swoich dzieci na imieniny. Życie brała pogodnie jako dar wyrażony dobitnie słowami piosenki-modlitwy: *Wzięłam, co mi dałeś, Wezmę, co mi dasz. Dziękuję Ci Panie za wszystko!* (Mariusz Strzygieł). Mamusia bardzo ceniła sobie pobyt w Zurychu u córki Alicji i zięcia Andrzeja; opiekowała się ich córką Monisią, gdy jej rodzice byli w pracy. Ale wróćmy do Józefa. Tato podkreślał moralne i etyczne wartości pracy w życiu społecznym. Pracował przy porządkowaniu placu przykościelnego w Limanowej w okresie międzywojennym jako dorastający młodzieniec, a następnie już jako dorosły mężczyzna brał aktywny udział w życiu parafii, jeśli tylko był w Limanowej, gdyż bywał też często poza nią, poszukując pracy zarobkowej. Związany był tak bardzo z kościołem limanowskim i mimo że bliżej miał do kaplicy w Sowlinach (po wojnie, gdy powstała), gdzie na religię uczęszczały później jego dzieci, szedł do „swojego kościoła”, gdzie królowała Jego ukochana Matka – Matka Boska Limanowska, która sprawowała pieczę nad jego życiem i Rodziną. Wierzył, że Pan Bóg go nie opuści w trudnych momentach życia, a pełne zaufanie wyraża modlitwa, której nas nauczył i codziennie odmawiał: *Kto się w opiekę odda Panu swemu – a całym sercem szczerze ufa Jemu, Śmieie rzecz może: – mam obrońcę Boga – nie przyjdzie na mnie – żadna straszna trwoga*⁹...

Gdy po wojnie odbywała się elektryfikacja wsi, Tato zaangażował się w nią bez reszty. Od „zamożniejszych brał trochę pieniędzy za wykonaną pracę, biednym wykonywał pracę za darmo. Robił instalację elektryczną także u sąsiadów, nie zawsze biorąc za to zapłatę. Naprawiał maszynki, silniki elektryczne, roboty domowe (miał – jednym słowem – pełne ręce roboty).

Tato cenił sobie bardzo rodzinę. Wiedział, że ojciec jest niezbędny w domu. Będąc pólserotą brakowało mu zawsze ojca, a teraz – jako ojciec – starał się tę rolę, jak tylko umiał, wypełnić. Był zapobiegliwym, zaradnym i dbającym, by dzieci nie były głodne. Wychowywał je poprzez pracę, bo sam wychowany został w kulcie pracy organicznej, pracy pozytywistycznej, pracy u podstaw. Jego hasło życiowe brzmiało: *nie robimy nic, nie będzie nic*. Po dobrze wykonanej pracy kwitował jednym krótkim zdaniem: *Zrobione i „już”*. Pełen zadowolenia brał wówczas na kolana najmłodszą córeczkę Alusię i razem oboje jedli obiad albo śpiewali piosenki: *Kapu, kapu, kapu kap, deszcz po szybcie spada...* lub *Wyleciał ptaszek z Łobzowa, usiadł na Rynku Krakowa...* Aż miło było patrzeć na ten zgodny, wielopokoleniowy *team*. Nie lubił owijać w bawełnę, dzieciom lub dorosłym mówił jednoznacznie: *Nie mówmy tak albo tak: Mówmy tak, jak jest*. Chodziło mu o prawdziwe poznanie świata, adekwatne, czyli w pełni zgodne z rzeczywistością. Był prawdomówny, wprowadził skąpy w słowa, ale nie w życie. W życiu hojny i szczodry. Gdyby zauważył, że ktoś głoduje, brakuje mu chleba, zaraz podawał mu rękę z kromką, bo wiedział, co to głód i nędma, gdyż doznał ich aż nadto w swoim życiu (w czasie okupacji przez tydzień nic nie jadł, pił tylko wodę).

Często nucąc piosenkę, trzymając któreś z dzieci lub mnie za rękę (ciepłą i przyjemną dłonią) *szliśmy tak pośród pól...*, a *klucze białych chmur* tworzyły nad nami kopułę, utkaną na wzór woalki czy welonu, a wokoło gwiazdy, gwiazdy. To od Taty dowiedziałem się np. o Syriuszu, Wielkim Wozie i innych jeszcze konstelacjach. A po co szliśmy? Po wodę do źródła, położonego za torami nad sztreką (Strecke) pod skarpią, które wytrysnęło podczas budowy kolei transwersalnej z Chabówki przez Limanową do Nowego Sącza. Ile przyjemnych wspomnień mam (związanych) z tym źródłem. Tato twardo stąpał po ziemi. Idąc do pracy, dzieciom, zwłaszcza chłopcom pozostawiał niejedno zadanie do wykonania np. wybrukowanie podwórka (kamieniami) albo zabrojenie (sufitu stajenki) pod płytę żelbetonową, albo co najgorsze, zadanie prawie nie do wykonania, pilnowania kur, by te nie wyrządziły szkody, wchodząc w łan pszenicy. Z dwóch powyższych zadań

wywiązywaliśmy się (bracia Zbigniew, Winicjusz i ja) na przysłowiową piątkę, bo to była konkretna robota, natomiast z trzeciego zadania (pilnowania kur), absolutnie nie, gdyż walka z kurami, równała się walce z wiatrakami, a więc nie udawało się jej wygrać, ponosiliśmy absolutną klęskę na tym polu. Najgorszy był ów moment, gdy Tato wracał z pracy i zerkał w stronę łąny zboża, a w jego środku aż roilo się od kur. Ileż to razy zostaliśmy zdemaskowani, a Tato zdenerwowany na przysłowiowego maksa... i dopiero gdy ochłonął, próbował raz jeszcze do nas łagodnie przemówić: *Ile razy wam mówiłem: Patrz, z czego żyjesz! a więc pilnuj kur, by nie szły w szkodę i nie zabierały wam waszego chleba*. Słowa były naprawdę ważne i słuszne, ale proszę mi wierzyć, doprawdy nie do wykonania (przynajmniej przeze mnie). Lubiłem (ja Józef Szymon) paść krowę, tę jedyną mlekodajną żywicielkę, którą Rodzice nazywali Maliną. Ileż to lektur szkolnych, pasąc Malinę, udało mi się w tym czasie przeczytać, trzymając ją na krótkim łańcuchu i wypasając ją między. To Malina ma swój udział w moim dobrym wyniku na maturze z języka polskiego. Uczyłem się też przy niej jako „dobry pasterz” języka niemieckiego. Był mi to czas „dany i zadany”, mówiąc za Janem Pawłem II, *dany*, bo mi nikt oprócz Maliny nie przeszkadzał, *zadany*, bo mogłem zadane lektury szkolne wreszcie i nareszcie przeczytać. Wiosną Tato chodził z nami (dziećmi) na spacer, na zbieranie fiołków. Nauczył nas patrzeć na otaczający świat, a w szczególności na przyrodę, kwiaty: fiołki, niezabudki i bławaty oraz na ptaki: kosy, szczygły, szpaki i skowronki. Na wiosnę sprawdzał budki dla szpaków, czy są całe i nadają się do „zamieszkania” przez ptaki. Gdy były zepsute, wychodził po nie po drabinie, ściągał je i naprawiał. Rano wcześniej wstawał i słuchał śpiewu ptaków. Słuchał ptasiego koncertu również wieczorem. Pewnego razu zapytał mnie, co to jest ten ptasi śpiew rano i wieczorem, co on tak naprawdę znaczy. Nie umiałem Mu na to pytanie odpowiedzieć, więc odpowiedział za mnie. *Są to ptasie modlitwy do Boga*: rano: *Kiedy ranne wstają zorze*, a wieczorem: *Wszystkie nasze codzienne sprawy, Tobie Boże, Tobie Prawy*. Ptak modlitwy nie opuści, więc człowiek powinien się od niego uczyć. W tym czasie chodziłem do szkoły muzycznej i uczyłem się gry na skrzypcach i historii muzyki.

Nauczycielka, nie pamiętam już, czy była to pani dyr. Aleksandra Zielińska-Pałkowska czy prof. Małgorzata (późniejsza) Mordarska, na pewno jedna z nich mówiła nam na zajęciach o kompozytorze i organiście francuskim Olivierze Messiaen (ur. 1908 r.), który w swej twórczości, w szczególności o tematyce religijnej, w utworach o oryginalnej, organicznej koncepcji brzmieniowej, wyzyskiwał śpiewy ptaków, np. *Le réveil des oiseaux*. Gdy mu o tym powiedziałem, wyraził chęć posłuchania tych utworów. Niestety, wówczas nie udało mi się do nich dotrzeć. Był pasjonatem gołębi. Hodował je i rano obserwował komentując ich lot. Gdy byłem już podrastającym chłopcem, pakował parę gołębi do klatki, przywiązywał ją do bagażnika i kazał mi z nimi jechać jego motowerem *Simsonem* na Suchą Sowlinę lub do Tymbarku i tam je wypuszczałem. Zanim zdążyłem wrócić, gołębie siedziały już na dachu rodzinnego domu i wesoło gruchały. Ojciec z uśmiechem kwitował to następującym stwierdzeniem: *Widzisz, my (ludzie) przegrywamy z małymi ptakami. Ptaki mają szansę dotrzeć tam, dokąd my nie dotrzemy, np. do najwyższych gór. No i co ty na to?* To dawało wiele do myślenia, a przede wszystkim uczyło pokory. Miał gołębia, który na jego gwizd (a gwizdać potrafił pięknie, nawet melodie) przyfruiwał natychmiast, siadał mu na ręce i gruchając, kręcił się wesoło w półobrocie tam i z powrotem, wykonując przedziwne taniec. Czy Ojciec miał gołębie serce? Pewnie tak, ale należało by to zdefiniować, co to jest. Nie lubił wróbla, bo znalazłszy sobie siedlisko w dekorowanym, zębatego szczytu domu z fartuszkami u dołu (a owe zęby miały koliste otworki, które wszeteczne wróble uznały, że są to wyśmienite otworki – wejścia do ich gniazd) budowały sobie za nimi siedliska, a stamtąd sfruwały na zasiane poletko pszenicy i je znacznie demolowały. Lubił natomiast bociany. Gdy pytaliśmy go (na wiosnę), dlaczego nie ma jeszcze bocianów, odpowiadał: *Pewnie nie mają ku temu warunków*. Dzisiaj wiem, że bociany wędrują przy pewnej temperaturze, powiedzielibyśmy naukowo w „kominach termicznych”, a więc musi być co najmniej 10 stopni powyżej zera, by mogły wędrować. Gdy było załamanie pogody, zatrzymywały się po drodze, przeczekawszy trudny okres, podejmowały wędrowną ponownie.

Tato potrafił wiele wyczytać z lotu ptaków. Gdy ptaki np. kawki, wrony wykonywały wirowy lot, a nie płynny, co Tato nazywał, „że się tłuką”, bo rzeczywiście obijały się o siebie, tłukąc się bokami czy skrzydłami, kwitował to następującym zdaniem: *będzie plucha, nadchodzi czas złej, marnej pogody*. Przy tej okazji mówiłem mu o starożytnych wróżbach z lotu ptaków, które nazywają się a u s p i c j a m i . Dodawał prowokacyjnie: *A widzisz!* – I pytał jednoznacznie – *Czy nie mam racji?* Uśmiechałem się i prowokacyjnie, by zakończyć dyskusję odpowiadałem po niemiecku: *Jawohl*, co znaczyło, że ma absolutną rację, a że znał niemiecki, więc była szansa przejść do następnej kwestii, do psów, które lubił. Uwielbiał Miśka, którego i ja lubiłem jako mały chłopiec. Gdy Misiek dokończył swojego żywota, nie pytając rodziców „przywlokłem”, a tak naprawdę dostałem od swojego kolegi Władzia Sowy małego wilczurka, rodzice nic na to nie powiedzieli. Jedynie od nauczycielki dostałem po uszach, gdyż wsadziłem go do drewnianego kosza koło pieca, by się tam w ciepło wyspał. Gdy się wyspał, zaczął w klasie robić raban, grać pierwsze skrzypce, a na to pani Ptakowa nie mogła pozwolić i wysłała mnie z nim do domu, z czego byłem rad. W domu okazało się, że to nie wilczur, tylko wilczyca (i w dodatku nieczystej rasy). No cóż, życie niesie niespodzianki.

Tato miał wiele talentów. Grał pięknie na harmonijce ustnej, akompaniując sobie równocześnie przy prowadzeniu głównej melodii. Fascynowało mnie to i pragnąłem się nauczyć gry na tym instrumencie. Wprawdzie nauczyłem się, ale nie akompaniamentu. Podobnie było z grą na skrzypcach. To Tato był moim pierwszym nauczycielem. Uczył mnie z nut grać melodie: *Kosiarze, stoją...* Graliśmy na głosy. Umiał świetnie sekundować, ja robiłem to gorzej, mimo że skończyłem szkołę muzyczną. Tato wprawdzie uczył się gry na skrzypcach u nie byle jakiego fachowca, bo u samego Eugeniusza Dziuby, ale szkoły muzycznej nie ukończył, a jednak na skrzypcach grał wybornie, szczególnie sztajerkki. Nie te, o których ludowa melodia powiada: *Chłopoki czyście mnie nie poznali, żeście mi sztajerka nie zagrali, Jo se chłopok od Zesowa, Ojciec umarł, matka wdowa, Chłopoki, la Boga, żeście mnie nie poznali...* Grał te prawdziwe stajerki jako odmiana walca z okolic Steiermark

w Austrii. By móc pobierać lekcję u prof. Dziuby, po swojej pracy, szedł dodatkowo na przysłowiową „szychtę” do cegielni, by zarobić na lekcje muzyki. To jest przykład niezwykle do naśladowania, ale chyba naprawdę rzadki.

Miał duże poczucie humoru. Gdy Mamusia z troską napominała: *Józik, uważaj na prąd*, wówczas z humorem i uśmiechem chyba bez napięcia, ale z lekkim natężeniem odpowiadał zawodowym porzekadłem: *elektryka prąd nie tyka*. A jeżeli już chodzi o znaczenie tych słów (napięcie, natężenie), tłumaczył mi ich różnicę, a był to dla niego chleb powszedni. Jako pierwszy w Limanowej potrafił przefazować silnik elektryczny z trzyfazowego na dwufazowy. Mnie nauczył nawijać silniki, bo od małości asystowałem mu przy przewijaniu silników (elektrycznych). Chciał, abym został technikiem – elektrykiem. I cóż. Dobrze się zaczęło, gdyż zdawałem egzamin do Technikum Mechanicznego i egzamin zdałem, ale ze względu na wadę serca, jaką miałem w młodości, lekarz nie zezwolił mi na naukę w technikum, więc Mamusia udała się do dyr. Tabora, który przyjął mnie do Liceum (dziś I Liceum Władysława Orkana)¹⁰. I tak po latach zostałem neofilologiem germanistą i historykiem sztuki.

Egzamin na kartę rowerową i motocyklową zdawaliśmy razem: Tato i ja. Ja zdałem. Tato za pierwszym razem nie zdał egzaminu, nie dlatego, że nie umiał (razem uczyliśmy się do niego, razem przerabialiśmy materiał i byliśmy do egzaminu dobrze przygotowani), ale dlatego, że się naraził. Padł ofiarą zemsty egzaminatora, który po niedzielnej imprezie został nagle obudzony przez grupę mężczyzn (w niej na tzw. szpicy był też Tato), którzy nie mogąc dłużej czekać na egzaminatora, postanowili pójść do jego mieszkania i wyrwać go z błogiego snu. Jak się później okazało cała „czołówka” nie zdała egzaminu, jedynie dwaj młodzieńcy, którzy nie zabrali się z grupą „prowadzącą” i nie „zaatakowali” egzaminatora „nachalnym” budzeniem, zdali: byli to syn naczelnika miasta Jana Kubowicza i piszący te słowa. W życiu najważniejsze jest więc to, by zabrać się z ludźmi odpowiedzialnymi, wejść z nimi w przygodę egzaminacyjną czy naukową itd. Moja dobra znajoma pani dr Krystyna Czajkowska powtarzała mi ciągle, gdy spotkałem ją na stypendium Janineum w Wiedniu: *Man kann* ►



Dom rodzinny Wronów. Fot. Stanisław Ocieпка

► *singen, man kann tanzen, aber nie mit den Zasantzen (czyli można śpiewać, można tańczyć ale, nigdy z.....).*

Tato nigdy nie wzbudzał w sobie nienawiści czy niechęci do Niemców. Gdy go o ten trudny problem relacji Polska – Niemcy zapytałem, odpowiadał: *Byli źli i dobrzy Niemcy*. Cieszył się, gdy dostałem się na germanistykę i mógł się tym pochwalić kolegom i znajomym. Mówił wówczas: *Józek będzie studiował germanistykę na UJ*. A mnie pytał wprost: *Czego się tam będziesz uczył?* Odpowiadałem: będę „szlifował” język, przy okazji poznam historię, mimo czarnej karty w historii tego narodu, będę uczył się także o pięknych osiągnięciach i twórczości ich poetów, np. wierszy takich, jak: *Kto pędzi tak późno wśród nocnej zamieci... czy O radości skro promieni...* Graliśmy razem – ja i Tato – ten utwór na skrzypcach w duecie: Ja prowadziłem melodię, a Tato sekundował. Nie wiem, czy wiedział wówczas, że pierwszy utwór napisał Johann W. Goethe, a drugi był wierszem Fryderyka Schillera, z muzyką Ludwika van Beethovena.

W pobliżu naszego domu, po drugiej stronie ulicy na łąkach dworskich, ale należących od XIX w. do rodziny Jasiców i Jońców, Czachurskich, a później także i Salamonów zaczęto pod koniec lat 60. XX w. budować szpital (obecnie szpital powiatowy). Nastąpiły czasy Gierka, małej

stabilizacji i socjalizmu z „ludzką twarzą”. Był to przełom lat 60. i 70. Zrobiło się ludno i gwaro na placu budowy. Pewnego dnia byłem świadkiem takiego oto zdarzenia. Pojawił się jakiś nieznaną człowiek, który coś szeptał Ojcu do ucha długo, a gdy skończył, Tato przywołał mnie do siebie, by mieć świadka i lekko podniesionym głosem, nie mogąc pozbyć się „petenta”, powiedział: *Tak, będzie wiśniał Pan i mnie też powieszę*. Po chwili „petent” odszedł z niepysną miną. Tato nie chciał mi powiedzieć, o co owemu robotnikowi chodziło, ale z kontekstu domyślałem się, że chciał ojca „wkręcić” w jakiś „przekręt”, na który Tato kategorycznie zareagował, mówiąc: NIE! Ta zdecydowana odmowa Ojca skutkowałą tym, że nie tylko ów „petent”, ale żaden inny z jakąś „czarną propozycją” już się nie pojawił. A dla mnie młodego człowieka była to znów lekcja pogładowa, jak należy w takich sytuacjach postępować: zdecydowanie i kategorycznie! Zastanowiłem się, gdy moja wiedza o przysłowiać znacznie wzrosła, czy nie ma jakiegoś odpowiednika tej sytuacji, którą Ojciec podsumował zdecydowanym NIE. I znalazłem przysłowie: *Brzmi ono następująco: Równo wisieć winien snadnie, ten co chowa, jak i ten co kradnie*. Ponieważ Tato znał niemiecki, a ja do wszystkich polskich przysłów szukałem niemieckich odpowiedników,

więc, gdy przyjeżdżałem z Krakowa do domu, przypomiąłem Ojcu owe zdanie mówiąco: *Der Hehler ist so gut wie der Stehler*.

Tato bardzo dbał o rodzinny dom. Szanował go, reperował, remontował i unowocześniał. Po latach mówił do mnie pół serio, pół żartem: *Muszę go szanować, bo jest ode mnie starszy*. I dodawał: *to moje ognisko rodzinne, a gdy się weźmie pod uwagę nasze nazwisko, to ognisko rodzinne zamienia się w gniazdo rodzinne* – kwitował z satysfakcją. Z czasem, by nie tylko spełnić tradycyjne wymagania stawiane mężczyźnie, który w życiu powinien mieć syna, posadzić drzewo i wybudować dom, ale i stworzyć komfortowe warunki mieszkaniowo-higieniczne, gdyż w starym domu, poza wodą nie było łazienki, WC i centralnego ogrzewania, gdy nadarzyły się takie warunki po przejściu na emeryturę, zaczął budować nowy dom. Gdy dekarze zamówieni do krycia dachu nie przyszli do pracy, sam z synem Winicjuszem uczył się zawodu dekarza, mając wówczas skończone 69 lat. Jak widać: *Dla chcącego nie ma nic trudnego*. Będąc na emeryturze, cieszył się z każdej wizyty swojego dziecka czy to z Krakowa, czy Świdwina. Gdy witaliśmy się i przechodziliśmy do rozmowy, był to czas niezwykły, czas wytchnienia, radości, wymiany myśli.

Pod koniec życia podupadł na zdrowiu.

Cierpiał na przewlekłą chorobę, której nazwy lekarze nie mogli ustalić. Chorował praktycznie od 1984 r., zmarł 23 maja 1989 r. Spoczywa w grobie rodzinnym na cmentarzu parafialnym w Limanowej. Po śmierci ojca smutek i żal po stracie przytłaczały mnie. Nie miałem sposobu wygadania się w języku ojczystym, gdyż byłem na rocznym stypendium doktoranckim w Monachium i mówiłem wyłącznie po niemiecku. A wiadomo, że pierwszy s p u s t jest bardzo ważny, czyli wygadanie się, wyrzucenie z siebie złości, trudnych przeżyć itd. Potrzebna jest też naturalna grupa wsparcia, którą znajdowałem w osobach: siostry Alicji, jej męża Andrzeja i brata Winicjusza, z którymi spotkawszy się w Salzburgu, wracaliśmy do kraju na pogrzeb Tatusia. Ale dopiero wtedy, gdy wróciłem ze stypendium do Polski, do Krakowa, do rodzinnego miasta Limanowej, w którym Tato przeżył całe swoje pracowite i owocne życie, miałem wsparcie ze strony Rodziny.

Podsumowanie

Józef Wrona pochodził z rodziny o silnych tradycjach patriotycznych. Swą działalność potwierdzał też czynem. Należał do związku narodowo-wyzwolenczego „Strzelec” i „Organizacji Orła Białego”. W czasie PRL milczał, nie opowiadał o swojej przynależności organizacyjnej¹¹.

Był bardzo wrażliwy na muzykę. Był jej pasjonatem, miał ogromny talent muzyczny (grał na skrzypcach i harmonijce ustnej). Uwielbiał walce, sztajerki i całą klasykę tańców wiedeńskich. Gdy córka Danusia, studentka przywiozła z Krakowa płytę z przebojami Czesława Niemena, Tato, słuchając jej, stwierdził: słowa porywające: *Bo czas jak rzeka, jak rzeka płynie, przenosząc w przeszłość tamte dni*, lecz „nie podchodziła” mu muzyka. Nie mógł się przekonać do jej nowatorstwa. Ale muzyka była dla niego również terapią. W chwilach trudnych i smutnych brał skrzypce i na nich grał, zdając się jeszcze coś więcej na nich wygrać: *Bo tyle pozostaje, co w pieśni zaznaczysz – mówił, bo ważne są wspomnienia, które pieśń utrwali*.

Dla niego Rodzina była bardzo ważna. Kochał dzieci, wnuki (każdorazowo przeżywał dogłębnie wieczerze wigilijną, wzruszając się do łez (czytaliśmy to jego wzruszenie na jego twarzy, które starał się ukrywać, ale wzruszenie było silniejsze). W tym momencie przypominałem sobie

Jego słowa, które kiedyś wypowiedział: *Jesteśmy stworzeni z miłości. W domowym ognisku dzieci grzeją się miłością rodzicielską. Ja tego nie zaznałem od Ojca, bo go straciłem*. Wówczas ból przeszywał do głębi. Cieszył się z powiększającej się Rodziny. Darzył wielką sympatią swoje synowe: Anię, Elusię i Danusię oraz zięciów: Czesia, Marka i Andrzeja, który wyraził się o swym teściu z wielkim szacunkiem: *To był gość*, czyli ktoś niezwykle. Tato był opiekuńczy, męski, ojcowski, wrażliwy. Miał ogromny autorytet i posłuch wśród ludzi. Wielu przychodziło do niego po radę i po pomoc, co Tato skwitował krótko i treściwie: *Choćto przychodzi do mnie po (c)hojco*. Tak to prawda. Odwiedzało nas mnóstwo ludzi, niekoniecznie tylko krewni, lecz znajomi czy też przyjaciele Ojca (jak np. Stanisław Pyrek, Piotr i Adam Salamonowie, Wojciech Biedroń i inni). Tato mówił ze swadą ładną polszczyzną, wtrącając limanowskie zwroty i powiedzenia gwarowe, niewolne o zapożyczeń również z języka żydowskiego – jidisz (np. na chłopca mówił to taki *szajgiec*), co świadczyło, że żył wśród limanowskiej wspólnoty i z niej czerpał również wzorce. Zrobił mi szopkę ze sceną, do której figurki sam rzeźbiłem, a stroje do figur szyła siostra Helena. W szopce nie mogło zabraknąć kiwającego się Żyda, bowiem Tatuś mówił: „Kto w szopce nie ma modlącego Żyda, tego może spotkać nie lada krzywda”. Z tą szopką chodziliśmy po kołędzie, a która rodzina wpuszczała nas do środka, prezentowaliśmy jej przedstawienie, którego tekst z pamięci podyktował mi Tato.

Tato miał swoje hobby. Lubił robić w drewnie. Stworzył sobie warsztat stolarski (z trakiem, tokarką) i tam spędzał wolny czas, robiąc np. drabinę na strych, wózek podręczny do przewożenia materiałów i wiele różnych, ciekawych, potrzebnych i podręcznych rzeczy. Miał sporo racjonalizatorskich pomysłów. Stworzył podwaliny pod młyn wodny. Ale gdyby żył jego Ojciec Szymon z pewnością – tak sądzę – z pewnością zostałby stolarzem.

Tatuś szedł przez życie z podniesioną głową i przyłbicą, dawał sobie radę w życiu i dawał dobry przykład sąsiadom, dzieciom, pełniąc obowiązki ojca rodziny. Miał ogromne poczucie humoru, miał swoją godność. Był dobrym patriotą, obywatelem i dobrym człowiekiem, Czy trzeba jeszcze coś więcej? O wielu

rzeczach nie napisałem, o wielu może by inni napisali lepiej niż ja. Ale napisałem te wspomnienia z własnej perspektywy, chociaż gdyby dopisało się do nich moje rodzeństwo (siostry i bracia), o ile byłyby one bogatsze? No ale niech to na razie wystarczy: Com napisał, napisałem, spełniając obowiązek nie tylko wobec Tatusia, lecz także Mamusi, spłacając dług wdzięczności zaciągnięty u obojga Rodziców.

¹ *Okruchy Pamięci. Limanowa na starej fotografii – Suplement*, opr. red. Jerzy Bogacz, Stanisław Ociepka, Limanowa 2012, s. 36.

² Był on synem powstańca styczniowego (Andrzeja) Marcina (Wrońskiego) „Wrony”.

³ J.Sz. Wroński, *Szymon Wroński vel Wrona, zwany S(z)ymcokiem – snycerz, rzeźbiarz i stolarz*, „Almanach Ziemi Limanowskiej”, nr 25/2006, s. 24–29.

⁴ Komenda Główna Organizacji Orła Białego, powołana 23 września 1939 r. do walki z hitlerowskim okupantem, mieściła się w Krakowie w kamienicy przy ul. św. Krzyża 1. Na tej kamienicy znajduje się tablica umieszczona w 45-rocznicę (Oddział ŻIW – PPL Kraków-Śródmieście), „Technoplastyka”.

⁵ Nazwisko znane wszystkim, którzy znają dzieje „tamtych mrocznych dni”.

⁶ Tak naprawdę było pseudonimem – słowa ojca. Gdy stawiałem pierwsze litery i prosiłem, aby napisał mi na zaszytym nasze nazwisko, napisał Wrona, trzymając przez chwilę zeszyt i oddając go dopiero po chwili dodał: właściwie nasze nazwisko brzmi WROŃSKI.

⁷ Podobnie jak Aleksander Korzeniak, mistrz garbarski, pochodzący spoza Limanowej.

⁸ Jej wspomnienia drukowało „Echo Limanowskie” w roku 2017: nr 268–269, 270–271, 272–273.

⁹ Zob. Bp Piotr Bednarczyk ks. dr Stanisław Sojka, *Modlitewnik Limanowski*, Kraków 1988, s. 295.

¹⁰ J.Sz. Wroński, *Wspomnienia o Dyrektorzach Wilhelmie Taborze* (złożone do EL).

¹¹ Nawet gdy był przesłuchiwany w dniu 29. 12. 1955 r. w charakterze świadka w sprawie agenta gestapo o inicjałach SS w Urzędzie Powiatowym.

Tragedia Inspektora – Sekrety akcji „Burza” na Ziemi Limanowskiej

Latem bieżącego roku mija 75. rocznica narodowego zrywu – zbrojnego powstania przeciwko hitlerowskiej, niemieckiej okupacji znanego pod kryptonimem: akcja „Burza”. Ze względu na popularyzację historii w ostatnich dwóch dekadach okres ten jest zazwyczaj kojarzony z powstaniem w Warszawie. Nasuwa się więc pytanie, jak wyglądała akcja „Burza” na Podhalu, Beskidzie Wyspowym i Ziemi Limanowskiej? Kto odegrał w niej znaczącą rolę?

Nazywam się Stefan Mikulski

Zima w Nowym Sączu w czasie niemieckiej okupacji wprawiała mieszkańców miasta w przynębiający nastrój. Dzień krótki, mroźne dni i noce. Obok terroru okupanta, godziny policyjnej oraz licznych represji panowała atmosfera przygaszenia, braku nadziei na kres hitlerowskiej jurysdykcji. 2 lutego 1943 r., do Sącza przybył wysoki, szczupły mężczyzna. Zameldował się w mieszkaniu u znajomych z okresu przedwojennego. Jego celem było nawiązanie kontaktu w ramach struktur Armii Krajowej ze sztabem Inspektoratu AK Nowy Sącz. Przyjezdny przedstawiał się na poufnych spotkaniach jako Stefan Mikulski. W rzeczywistości był konspiratorem od 1939 r., oficerem Wojska Polskiego, wysłannikiem Komendy Głównej AK. Por. Jan Wojciech Lipczewski „Wierzyca”, „Andrzej”, bardzo szybko rozpoczął pracę terenową mającą na celu przejęcie kontaktów oraz zbudowanie własnej sieci na terenie Podhala, Ziemi Limanowskiej, Sądeckizny i Gorlic. Jego zadaniem było przygotowanie gruntu pod przyjazd nowego Szefa Inspektoratu AK Nowy Sącz – ppłk. Stanisława Mireckiego.

Z kawalerii do partyzantki

Stanisław Mirecki urodził się w Piotrkowie Trybunalskim, jedne źródła podają Boże Narodzenie 1886 r., inne 7 stycznia 1887 r.! Syn Bronisława i Bronisławy z d. Bystrońskiej. W roku wybuchu Wielkiej Wojny, Stanisław zdał maturę w piotrkowskim gimnazjum. Dalszą edukację na studiach kontynuował we Lwowie. W sierpniu 1914 r., służąc

w Legionach Polskich uzyskał stopień wachmistrza, dowodząc plutonem w pułku ułanów. Tajniki organizacji funkcjonowania armii i kwatermistrzostwa poznał na kursie taborowym w Warszawie w 1917 r. Wobec tzw. kryzysu przysięgowego i odmowy złożenia przysięgi przez Józefa Piłsudskiego i legionistów I oraz II Brygady Legionów na wierność cesarzom Niemiec oraz Austro-Węgier, Stanisław znalazł się w obozie internowania w Szczypiornie a następnie w Łomży. W listopadzie 1918 r., po odzyskaniu niepodległości przez państwo polskie ponownie wstąpił do służby w wojsku. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej. W 1919 r. uzyskał awans na stopień rotmistrza ze starszeństwem. W latach dwudziestych przechodził liczne kursy i szkolenia m.in. w Szkole Oficerskiej Taborów we Lwowie oraz Centralnej Szkole Strzeleckiej w Toruniu. Służył w 7. i 8. Pułku Strzelców Konnych. Swoją dalszą karierę aż do wybuchu wojny związał z Centrum Wyszukolenia Kawalerii w Grudziądzu, gdzie pełnił rolę wykładowcy. We wrześniu 1939 r. dowodził jako zastępca dowódcy Ośrodka Zapasowego Kresowej Brygady Kawalerii w Żółkwi. W październiku tego samego roku przystąpił do pracy w konspiracji. Późną jesienią 1939 r., brał udział jako jeden ze współorganizatorów w tworzeniu Tajnej Armii Polskiej w Warszawie. W 1940 r. pełnił funkcję komendanta Okręgu Warszawa – Województwo TAP. Wówczas uzyskał awans do stopnia majora. W 1941 r. przebywał na Kielecczyźnie, gdzie tymczasowo objął funkcję komendanta Okręgu Kielce Konfederacji Zbrojnej. Na początku 1942 r., został Szefem Inspektoratu AK w Częstochowie. 30 kwietnia tego



Płk Stanisław Mirecki „Pociej” - fot. z niemieckiej kenkarty. Ze zbiorów J. Krzewickiego

samego roku uzyskał awans na stopień podpułkownika. Jesienią 1942 r. na terenie Inspektoratu doszło do wsypy. 8 września Stanisław Mirecki został aresztowany przez gestapo. Już miesiąc później, 4 października w czasie brawurowo przeprowadzonej akcji przez żołnierzy AK, ppłk Mirecki został odbity z częstochowskiego więzienia. Na początku 1943 r. jako osoba „spalona” na poprzednim terenie, uzyskał nominację z Komendy Głównej AK na Szefa Inspektoratu AK w Nowym Sączu. Jego zadaniem pozostała odbudowa i konsolidacja placówek i obwodów AK na obszarze Podhala oraz przygotowanie oddziałów partyzanckich do działalności zbrojnej.

Benedyktyńska praca w górskim terenie

Obszar Podhala, Pienin, Gorców, Beskidu Wyspowego, Sądeckiego, zachodniej części Beskidu Niskiego stanowiły trudny teren do tworzenia zwartej

konspiracji. Przekonali się o tym poprzednicy ppłk. Mireckiego, którym nie udało się na trwałe zbudować rdzenia konspiracji w szeregach ZWZ-AK. Stanisław Mirecki „Wit”, „Butrym”, „Pociej”, po przybyciu do Nowego Sącza na wiosnę 1943 r., przystąpił do pracy w oparciu o sieć kontaktów zorganizowanych przez oficera jego sztabu, por. Lipczewskiego. Podpułkownik działał pod fałszywym nazwiskiem Stanisław Stolarski. Dostyc szybko odbudowano wywiad Inspektoratu, na czele którego stanął por. Bronisław Waclawski „Domian”, a jego współpracownikiem został Jan Kamocki „Chomik”. Szereg kontaktów przejęto od grupy członków konspiracji ZWZ-AK z Limanowszczyzny z por. Janem Cieślakiem „Maciejem” na czele. Ppłk „Pociej” sprowadził ze sobą na Sądecczyznę swoich dawnych, bliskich współpracowników z terenu Częstochowy. Należało do nich grono łączników i łączniczek, ludzi sprawdzonych w robocie konspiracyjnej, tworzeniu łączności radiowej oraz kolportażu informacji i podziemnej prasy. Do tzw. grupy „częstochowskiej” należeli m.in. por. Krystyn Więckowski „Zawisza”, który w 1943 r. na kilka miesięcy został komendantem Obwodu AK Nowy Targ, a następnie dowódcą największego oddziału partyzanckiego na terenie Górców – OP AK „Wilk” (wcześniej oddział „Lecha”). Początkowo za łączność Inspektora odpowiadali: Wanda Kurpińska „Agnieszka” oraz jej brat ppor. Jerzy Kurpiński „Jur”, „Ponury”, a w późniejszym okresie Janina Grabowska „Irma”.

W Nowym Sączu stworzono sieć lokali konspiracyjnych, wykorzystując kontakty zarówno w środowiskach inteligencji, pracowników administracji i magistratu, jak i pracowników taborów kolejowych. Początkowo, wiosną 1943 r., Stanisław Mirecki kierował organizacją tworzenia zrębów Inspektoratu ze Starego Sącza, gdzie posiadał dwa lokale m.in. u Józefa Combra i Czesławy Niebieszczańskiej. Największym problemem dla nowosądeckiej konspiracji była działalność konfidentów gestapo oraz policji kryminalnej, którzy permanentnie inwigilowali lokalne środowisko. Brak przestrzegania podstawowych zasad konspiracji, gadulstwo, opilstwo i inne przywary często doprowadzały do aresztowań działaczy konspiracji. W ciągu kilku miesięcy w 1943 r. Szef Inspektoratu „Strumień”²² odbył spotkania

z przedstawicielami organizacji konspiracyjnych z terenu Nowego Sącza, Gorlic, Limanowej i Nowego Targu. W konsekwencji w ciągu kilku miesięcy przeprowadzono szereg akcji scaleniowych po to, aby skonsolidować działalność wokół walki z niemieckim okupantem. Na wiosnę 1943 r., w obecności por. Lipczewskiego, na Limanowszczyźnie doszło do spotkania ówczesnego komendanta Obwodu AK Limanowa – por. Władysława Szczypki „Lecha” reprezentującego AK oraz ppor. Władysława Wietrznego „Dęboroga” z Polskiej Organizacji Zbrojnej. Konsekwencją negocjacji była umowa scaleniowa i wejście POZ w struktury AK. Nowym komendantem Obwodu Limanowa został por. Stanisław Leszko „Olcha”, a por. „Lech” został Szefem Kedywu przy Inspektoracie, a następnie dowódcą tworzącego się oddziału partyzanckiego, nazywanego oddziałem „Lecha” a później „Wilk”.

W ciągu kilku miesięcy praca Inspektora nie poszła na marne. Odtworzono cztery Obwody AK: Nowy Targ, Limanowa, Nowy Sącz, Gorlice. Każdy z nich odpowiadał terenowi przedwojennego powiatu. Każdy obwód zorganizowano w placówkę AK, która odpowiadała terenowi gminy. Np. w Obwodzie AK Limanowa istniało 9 placówek AK. Organizowano regularne szkolenia z obsługi broni, pierwszej pomocy oraz kolportaż prasy oraz informacji z nasłuchu radiowego. Z końcem 1943 r., ppłk „Pociej” wraz ze Sztabem opracował Plan Opanowania Terenu, w którym zawarto szereg operacji zbrojnych na terenie Inspektoratu na wypadek załamania się działań zbrojnych na froncie. Żołnierze lokalnych placówek mieli za zadanie w wyznaczonym czasie opanowanie strategicznych obiektów. Np. z terenu Limanowej, Laskowej i Ujanowic – było to zdobycie budynków dawnej rafinerii nafty w Sowlinach oraz wsparcie pozostałych placówek w walkach o zajęcie Nowego Sącza.

Do najbardziej kontrowersyjnych kwestii należało przeprowadzanie w 1944 r., tzw. akcji scaleniowej między Armią Krajową i Batalionami Chłopskimi. Np. na Limanowszczyźnie wywiad AK szacunkowo określał ponad 80% poparcia przez mieszkańców wsi dla chłopskiej partyzantki i Stronnictwa Ludowego. Na wiosnę 1944 r. przystąpiono do akcji scaleniowej, m.in. do sztabów AK włączano po 3-4 oficerów z BCh, którzy pełnili funkcję zastępców komendantów, szefów

propagandy i Wojskowej Służby Ochrony Powstania. I tak w obwodzie limanowskim na zastępcę komendanta AK – kpt. Juliana Krzewickiego „Filipa” nominowany został por. Julian Dutka „Jaworz”, a na szefa WSOP – ppor. Franciszek Grölle „Kosiarz”. Nie wszędzie akcja scaleniowa przebiegała poprawnie co wynikało z politycznych animozji lub niechęci i braku zaufania między oficerami AK i BCh. Ppłk „Pociej” z samej akcji scaleniowej nie był do końca zadowolony, będąc przeciwnikiem przenoszenia oficerów BCh do AK. Uważał, że przynależność do danej organizacji nie powinna górować nad umiejętnościami w dowodzeniu i organizacji pracy konspiracyjnej.

Ziemia Limanowska – sztab Inspektora

Na wiosnę 1944 r. w Nowym Sączu i Tarnowie nastąpił szereg aresztowań m.in. zatrzymano siostry Stobieckie, które zajmowały się łącznością radiową i kolportażem prasy na terenie miasta i okolic³. Wobec tego należało zlikwidować „spalone” lokale. Stanisław Mirecki przeniósł swoje kwatery na teren Beskidu Wyspowego. Początkowo pod koniec czerwca przebywał kilka dni w Ujanowicach, goszcząc u ks. proboszcza Bernardyna Dziedziaka, następnie zakwaterował w leśniczówce rodziny Kałużnych w Młynnem. Ostatecznie po kilku dniach przeszedł po stokach Kamionnej i Pasierbieckiej Góry do Kisielówki, gdzie ulokował swój sztab w dworcu Jadwigi Schwabe oraz domu inż. Józefa Marka. Ochronę zapewniał por. Jan Cieślak „Maciej” wraz z kilkuosobową obstawą. Wydawało się, że „wyciszony” teren gór wyspowych będzie sprzyjał spokojnej pracy Inspektora. 24 lipca do dworku w Kisielówce dotarł rozkaz Komendy Okręgu AK Kraków zarządzający „pogotowie” do „Burzy”, czyli przygotowanie do rozpoczęcia działalności zbrojnej przeciwko okupantowi przez oddziały partyzanckie i poszczególne placówki AK. W rozkazie wyraźnie wskazano, aby przystąpić do odtwarzania przedwojennych jednostek wojskowych działających na danym terenie. Na Podhalu w 1939 r. swój matecznik posiadał 1. pułk strzelców podhalańskich, stąd zapadła decyzja o jego odtworzeniu w konspiracji. Dwa dni później ppłk „Pociej” wydał rozkaz o rozpoczęciu „Burzy” ►



Lato 1944 r. Kisielówka. Od lewej: Jan Macko z małżonką, ppłk Stanisław Mirecki „Pociej”, NN., NN., Janina Paradecka, por. Jan Lenartowicz „Stary”. Fot. ze zbiorów J. Krzewickiego

► Tego samego dnia doszło do rozbicia posterunku policji i żandarmerii w Tymbarku przez lokalną placówkę AK. Wkrótce OP AK „Wilk” dokonał zdobycia i rozbrojenia załogi niemieckiej posterunku w Kamienicy. Akcja „Burza” rozpoczęła się na dobre.

Tragedia w Kisielówce

Niemcy mając na uwadze wiosenną wyspę w Nowym Sączu, intensywnie poszukiwali Szefa Inspektoratu. Kiedy 3 lipca 1944 r. dokonali nocnej obławy w Tymbarku, aresztując kilkadziesiąt osób m.in. pracowników „Owocarni” – to w czasie przesłuchań nakazano wszystkim mężczyznom, aby się przechadzali wzdłuż drzwi, w których był wizjer – prowadzono obserwacje. Gestapo wiedziało, że poszukuje łysego, w średnim wieku, pułkownika *Stolarskiego*⁴. Punktem zwrotnym było aresztowanie Janiny Grabowskiej „Irmę” – sekretarki ppłk. „Pocieja”. Po serii przesłuchań, nowosądeckie gestapo przygotowało prowokację. Niemcy, znając lokalizację poszukiwanego Szefa Inspektoratu, przyjechali na stację kolejową do Łososiny Górnej wraz z „Irmą”.

Był 27 sierpnia. Funkcjonariusze prowadzili przed sobą „Irmę”, kierując się wzdłuż nasypu kolejowego w kierunku Kisielówki. Nie wiadomo, czy „Irma” załamała się w wyniku tortur i przesłuchań. Inna hipoteza głosiła, że celowo prowadziła Niemców poprzez wyeksponowane miejsce wzdłuż nasypu, aby ochrona Inspektora zauważyła, co się święci. Do dzisiaj kontrowersyjną kwestią pozostaje wątek por. Lipczewskiego. Ten, schodząc z Kisielówki w kierunku

Piekiełka i dalej Tymbarku z oddali zauważył niemiecką obławę. Nie zawrócił jednak, by powiadomić o tym kogokolwiek ze Sztabu. Poszedł do Tymbarku z powierzonym mu zadaniem. Tymczasem zawiodła obstawa Inspektora, żołnierze którzy mieli czuwać nad bezpieczeństwem swojego dowódcy zbyt późno zorientowali się w tym, co się dzieje. Por. Szymon Pyrc „Jaskółka” adiutant Inspektora wybiegł z domu inż. Marka do dworku Jadwigi Schwabe (kilkadziesiąt metrów) w celu ostrzeżenia ppłk. „Pocieja”. Szef Inspektoratu ledwo zdążył się ubrać, zebrać do teczek dokumenty konspiracyjne. Wraz z „Jaskółką” oraz sekretarką-łączniczką, krewną Janiną Paradecką wyszli tylnym wyjściem. Padały pierwsze strzały ze strony żołnierzy niemieckich, którzy starali się oskrzydlić budynki w osiedlu. Według relacji por. Pyrcia, główny problem stanowiło to, że wszelki kierunek ucieczki na północ prowadził pod stromo nachylony stok góry. „Jaskółce” udało się dobiec do kartofliska oraz wyrzucić teczkę z dokumentami. W czasie ucieczki postrzelona w rękę została Janina Paradecka. Ppłk „Pociej” zawrócił, aby jej udzielić pomocy. Doszło do walki wręcz z Niemcami, w wyniku której Szeff Inspektoratu został ranny w głowę i stracił przytomność. Zakrwawionego pułkownika przeniesiono pod dom inż. Marka, gdzie polecono kilkunastoletniej córce inż. Marka – Marii udzielenie pierwszej pomocy ppłk. „Pociejowi”. Wkrótce Niemcy zorganizowali podwodę na której przewieźli rannego Szefa Inspektoratu do stacji kolejowej w Łososinie Górnej i dalej do Nowego Sącza. Aresztowana została Jadwiga Schwabe oraz Janina Paradecka⁵.



Janina Paradecka - fot. z niemieckiej kenkarty. Ze zbiorów J. Krzewickiego

Krajobraz po „Burzy”

Pomimo próby organizacji odbicia Szefa Inspektoratu przez jego współpracowników, 4 września 1944 r. ppłk Stanisław Mirecki „Pociej”, przebywając w szpitalu w Nowym Sączu, popełnił samobójstwo, chroniąc przed ujawnieniem sekrety akcji „Burza” na Podhalu, w tym odtworzenie jednostki 1. pułku strzelców podhalańskich w ramach AK. Tragiczne wydarzenia z Kisielówki, osłabienie działalności oddziałów partyzantskich w terenie spowodowane krwawym odwetem na ludności cywilnej podhalańskich wiosek ze strony okupanta, doprowadziły 20 września do ostatecznego odwołania akcji „Burza” na tym terenie. W dniach 22-24 września nowym Szefem Inspektoratu AK „Niwa” Nowy Sącz oraz 1 psp AK został mjr Adam Stabrawa „Borowy”, który podjął się kontynuacji dzieła rozpoczętego przez ppłk. Stanisława Mireckiego „Pocieja”. Ofiary obławy w Kisielówce zostały upamiętnione na tablicy pamiątkowej na cmentarzu parafialnym w Tymbarku.

W czasie poszukiwań materiałów na temat życiorysu Ppłk. Stanisława Mireckiego „Pocieja” autorowi udało się dotrzeć do rodziny pułkownika. Szczególnej pomocy w poszukiwaniach oraz udostępnienie materiałów zapewnił Profesor Krzysztof Krajewski-Siuda, za co autor składa serdeczne podziękowania. W artykule wykorzystano fotografie ze zbiorów Jerzego Krzewickiego oraz Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu.

¹ Może to być związane z kwestią interpretacji czy odwoływano się do kalendarza gregoriańskiego czy juliańskiego, zwłaszcza, że narodziny miały miejsce na terenie ówczesnego zaboru rosyjskiego.
² Kryptonim Inspektoratu AK Nowy Sącz w połowie 1943 r. Następnie do końca wojny obowiązywał kryptonim „Niwa”.
³ Siostry Janina, Celina i Alina Stobieckie pracowały w konspiracji nowosądeckiej do dłuższego czasu. W ich mieszkaniu przy ul. Kunegundy 14 w Nowym Sączu znajdował się lokal konspiracyjny, punkt

nasłuchu radiowego, redakcja komunikatów na podstawie nasłuchu radiowego. Janina stała na czele Wojskowej Służby Kobiet Obwodu AK Nowy Sącz. W wyniku aresztowania Janiny Stobieckiej na dworcu w Tarnowie w marcu 1944 r., Niemcy rozpoczęli rozpracowywanie komórek organizacyjnych Inspektoratu. Janina i Celina zostały rozstrzelane na cmentarzu żydowskim w Nowym Sączu 25 kwietnia 1944 r. Trzy dni później pod egzekucji pod Rdziostowem zginęła Alina wraz z matką. G. Mazur,

W. Rojek, M. Zgórniak, *Wojna i okupacja na Podkarpaciu i Podhalu*, Kraków 1999 r., s. 181.

⁴ Relacja Józefa Macko w zbiorach autora.
⁵ Jadwiga Schwabe zginęła w obozie zagłady w Ravensbrück. Janina Pradecka została zamordowana w czasie pobytu w areszcie nowosądeckiego gestapo. Relacja z obławy na ppłk. Stanisława Mireckiego „Pocieja” na podstawie relacji por. Szymona Pyrcia „Jaskółki” w zbiorach autora.

(dokończenie ze strony 31)

Otwarcie Izby Pamięci

1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK w Słopnicach

Jedyna taka Izba w Beskidzie Wyspowym

Wnętrze izby zostało wyposażone w niemal większość przedmiotów pochodzących z okresu okupacji na obszarze Beskidu Wyspowego. Odtworzona została góralska izba z domu Dawców na os. Małgorzyca na Dzielcu w Słopnicach Górnych. Było to miejsce położone nieopodal zrzutowiska AK „Sójka 401”. Nie zabrakło wyposażenia w skrzynię i stare łóżko z siennikiem. W Izbie znalazły się zasobnik ze zrzutów wraz z wyposażeniem, obok niego smrek, na którym znajdują się zrzutowe spadochrony. Ściany izby zostały ozdobione fototapetami w formie oryginalnych zdjęć z okresu działalności żołnierzy 1. PSP AK na Ziemi Limanowskiej oraz w Gorcach. Szczególne wrażenie robi największa z fototapet, na której znalazła się fotografia z koncentracji żołnierzy AK z terenu całej Limanowszczyzny. Wnikliwi obserwatorzy będą mogli odszukać krewnych wśród blisko 250 żołnierzy z placówek AK: Dobra, Tymbark, Jodłownik, Mszana Dolna, Niedźwiedź, Kamienica-Słopnice, Łukowica, Laskowa-Młynne, Limanowa oraz Ujanowice. Wnętrze izby zostało wyposażone w kilka gablot, które zawierają oryginalne materiały konspiracyjne, obiekty znalezione w czasie poszukiwań i prac przy obozie „Wilka” na Mogielicy oraz części niemieckiego bombowca Heinkel He-111, który



Młodzież z Klubu Historycznego 1. PSP AK w Słopnicach oraz członkowie SRH 1 PSP AK

rozbił się na stokach królowej Beskidu Wyspowego pod koniec stycznia 1944r. Prawdziwym rarytasem jest maszyna do pisania – ta sama, na której pisał rozkazy ostatni komendant Obwodu AK Limanowa. Całość wieńczy panorama z Polany Stumorgowej w kierunku Gorców oraz diorama obozu partyzanckiego na Mogielicy.

Mamy nadzieję, że Izba będzie złązką lokalnej placówki edukacyjno-badawczej, służąc młodzieży szkolnej

i akademickiej w poznawaniu historii naszego regionu. Izba Pamięci będzie udostępniana dla turystów i pasjonatów historii w sezonie turystycznym. Szczegółowe zasady udostępniania i zwiedzania pojawią się w najbliższym czasie. Warto śledzić profil Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych 1. PSP AK na facebooku.

Fotografie: arch. Gminy Słopnice

Była kiedyś tu taka szkoła...

W 90. rocznicę powstania Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej – cz. 2

W drugiej części artykułu o Górskiej Szkole Rolniczej w Łososinie Górnej przedstawione zostaną losy serowarni typu szwajcarskiego założonej przy szkole. Przedstawione zostaną także losy szkoły podczas II wojny światowej.



Pierwsza serowarnia typu szwajcarskiego w Łososinie Górnej

Od momentu powstania w 1929 roku Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej starano się usilnie o budowę i uruchomienie serowarni typu szwajcarskiego. Starał się o to jej dyrektor inżynier Jan Drożdż, a popierała go w tym Komisja Szkolna oraz władze powiatu. W 1933 roku dzięki pomocy finansowej Ministerstwa Rolnictwa II RP przystąpiono do budowy budynku serowarni. Fundusze w wysokości ówczesnych 5 000 złotych na tę budowę przyznało także Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego II RP. W 1934 roku budynek serowarni został ukończony i przystąpiono do zakupu urządzeń

oraz wyposażania wnętrza. Budynek serowarni powstał w miejscu, gdzie dziś znajduje się siedziba OSM Limanowa, przy skrzyżowaniu ulic Starodworskiej i Władysława Reymonta. Sam budynek serowarni został zbudowany na wzór willi szwajcarskiej. Niestety w późniejszych latach został rozbudowany i stracił pierwotny wygląd.

Serowarnia Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej została uroczystie uruchomiona 7 lutego 1935 roku, jako pierwsza serowarnia typu szwajcarskiego w ówczesnym województwie krakowskim. Przy samym uruchomieniu procesu produkcji w serowarni pomagali początkowo dyrektor Jan Licznarski i inżynier Franciszek Karnicki z Doświadczalnej Stacji Serowarskiej w Bażanowicach na Śląsku Cieszyńskim. Gdy w 1935

roku uruchomiono produkcję sera typu ementalskiego z mleka miejscowych krów polskich czerwonych¹, podjęto decyzję, aby w początkowym etapie dostarczano do produkcji mleko wyłącznie od krów z obór dworskich Marsów z Limanowej (wtedy w Starej Wsi) oraz Romerów z Jodłownika a także Michałowskich z Laskowej. Podyktowane było to względami odpowiedniej jakości mleka i związanego z tym sposobu żywienia krów oraz warunkami higienicznymi. Równocześnie zaczęto przyuczać miejscowych rolników do odpowiedniej produkcji mleka w danych standardach, aby w najbliższej przyszłości mogli dostarczać je do serowarni. Po pewnym czasie, gdy spełnili warunki, miejscowi rolnicy zaczęli dostarczać mleko odpowiedniej jakości. Pierwszymi rolnikami, którzy zaczęli dostarczać mleko od swoich krów do serowarni byli: Józef Rozum, Michał Kapitan, Antoni Rozum, Stanisław Wojtowicz.

Pierwsze tygodnie i miesiące produkcji serów były czasem prób i doświadczeń, ale szybko udało się dojść do wprawy w ich wytwarzaniu. Obory dworskie Marsów, Romerów i Michałowskich dostarczały w tym okresie między 800 a 900 litrów mleka dziennie. Przez okres 3 lat od momentu otwarcia produkcją serów w serowarni zajmowała się Górską Szkołą Rolniczą, a jej uczniowie pracowali w niej w ramach zajęć praktycznych i ćwiczeń. Początkowo oprócz braku doświadczenia w produkcji problemem były także pieniądze (kapitał obrotowy), ponieważ ser od momentu produkcji do momentu sprzedaży musiał dojrzewać około czterech miesięcy. Gdy był sprzedawany z zyskiem, były pieniądze, ale na co dzień trzeba było regularnie wypłacać, co miesiąc dostawcom surowca – miejscowym rolnikom pieniądze za dostarczone mleko. W piwnicach serowarni dojrzewały duże ilości sera, jednak i z tym problemem sobie poradzono, zaciągając pożyczkę, którą dość szybko spłacono.

Gdy produkcja serów zaczęła przynosić dochody, a także przeszkolono odpowiednią ilość ludzi 1 kwietnia 1938 roku serownię przekazano wraz z zapasami sera Spółdzielni Mleczarskiej w Łososinie Górnej. Od tego czasu serownia nosiła nazwę „**Pierwsza Karpacka Serownia i Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Łososinie Górnej**”. W tym czasie kierownikiem technicznym serowni został Jan Rozum, wychowanek Górskiej Szkoły Rolniczej. Po pewnym czasie kolejnym kierownikiem serowni został Jan Guzik, wychowanek Górskiej Szkoły Rolniczej, który odbył także wcześniej praktykę w Szwajcarii. Tuż przed wybuchem II wojny światowej zostaje uruchomiona także druga serownia typu szwajcarskiego w powiecie limanowskim, w Tymbarku. Czynione były także plany otwarcia kolejnych w Szczyrzycu i Łukowicy. Niestety wybuch II wojny światowej przerwał pracę serowni w Łososinie i planowany jej rozwój. Przez cały czas od momentu usamodzielnienia się aż do wybuchu II wojny światowej Radą Nadzorczą Spółdzielni Mleczarskiej w Łososinie Górnej kierował inżynier Jan Drożdż. W 1939 roku Spółdzielnia Mleczarska w Łososinie Górnej przerabiała 10 000 litrów mleka dziennie, z czego 3000 litrów na sery typu ementalskiego² i 7000 litrów na masło górskie deserowe.

Jubileusz 10-lecia Szkoły

W 1939 roku uroczystie obchodzono jubileusz 10 – lecia powstania Górskiej Szkoły Rolniczej. Z tej okazji nakładem Wydziału Powiatowego w Limanowej wydano w marcu 1939



Otwarcie Serowni w Spółdzielni Mleczarskiej w Łososinie Górnej. Ludwik Malkowski (po lewej przy skrzydle drzwi), inż. Jan Drożdż - twórca Górskiej Szkoły Rolniczej (po prawej przy rogu okna)

roku okolicznościową broszurę pt: „10 lat działalności Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej”. Autorem tekstów opisujących okoliczności powstania placówki był dyrektor inż. Jan Drożdż. Okładkę publikacji ozdabiał drzeworyt przedstawiający motywy pasterskie autorstwa Wincentego Gawrona. W broszurze Jan Drożdż wymienia między innymi ważne osoby, które odwiedziły szkołę w latach 1929 – 1939. Byli to: Minister Rolnictwa Belgii Henri Baels³, Minister Rolnictwa II RP Leon Janta Połczyński⁴, Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego II RP Janusz Jędrzejewicz, Minister Spraw Zagranicznych II RP Józef Beck, Wojewoda Krakowski Mikołaj Kwaśniewski, Wojewoda Krakowski Michał Gnoiński oraz liczni profesorowie z UJ. Pośród profesorów warto zaznaczyć wizyty zasłużonych dla rozwoju

gospodarstw górskich i hodowli bydła: Jana Włodka, Leopolda Adametza oraz słynnego profesora Teodora Marchlewskiego.

Z okazji jubileuszu w 1939 roku szkoła otrzymała sztandar z przedstawieniem patrona młodzieży uczącej się i studiującej świętego Jana Kantego. Sztandar ten mimo swoich zawyłych dziejów zachował się do dziś i obecnie znajduje się w Izbie Pamięci i Tradycji Szkoły w Zespole Szkolno – Przedszkolnym Numer 4 w Limanowej. Na sztandarze z jednej strony na czerwonym tle znajduje się Orzeł Biały w koronie. Przedstawienie Orła otoczne jest złotym napisem: „Górska Szkoła Rolnicza w Łososinie Górnej 1929 – 1939”. Na drugiej stronie znajduje się przedstawienie świętego Jana Kantego, nad którym ukazany jest wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Sztandar w trudnym okresie okupacji niemieckiej ukrywał sam Jan Drożdż. Zaś po likwidacji szkoły w 1951 roku ukrywali przez większość lat PRL-u kolejno: ks. Jan Żurek, Jan Hudyba, bracia i rodzina Jana Drożdża. W latach 70. XX wieku trafił on do ówczesnego Muzeum Ziemi Limanowskiej, skąd w 1989 roku powrócił do Łososiny, do Szkoły Podstawowej Nr 4, do organizowanej w niej Izby Pamięci i Tradycji Szkół.

Lata II wojny światowej i okupacji niemieckiej

Po zajęciu Polski przez Niemców Górska Szkoła Rolnicza, jako szkoła zawodowa, nie została zlikwidowana przez władze okupacyjne. W szkole, jako placówce zawodowej, uczniowie mogli zdobywać tylko wiedzę potrzebną do pracy ▶



Przed oddaniem serowni. Inż Jan Drożdż (pierwszy z prawej), starosta Ludwik Malkowski (obok)

► w gospodarstwie. Zakazano nauki języka polskiego i historii Polski oraz czytania polskiej literatury. Górską Szkołę Rolniczą stała się azylem dla wielu młodych mieszkańców Ziemi Limanowskiej, w tym także członków podziemia niepodległościowego. Uczniowie szkoły nie byli zagrożeni wywózką do Niemiec na roboty przymusowe. Wśród uczniów szkoły, którzy w tym okresie pobierali naukę można wymienić późniejszego biskupa Józefa Pazdura⁵. Urodzony w Woli Skrzydlańskiej Józef Pazdur uczył się w Górskiej Szkole Rolniczej w latach 1940 – 1942. Dzięki zdyscyplinowaniu uczniów i rozważności nauczycieli udało się przez całą okupację uniknąć większych represji. Szkoła cały czas podlegała kontrolom ze strony władz okupacyjnych, a w okolicy roiło się od konfidentów. Nad wszystkim odważnie czuwał dyrektor Jan Drożdż, który starał się jak to tylko było możliwe chronić swoich uczniów. Szkoła wspomagała członków oddziałów podziemia, dostarczając im żywność z gospodarstwa szkolnego. Jan Drożdż wraz z żoną Marią otoczyli także opieką wysiedlonych z Poznania i Wielkopolski Polaków, zapewniając im wyżywienie. Dwukrotnie Jan Drożdż był aresztowany i więziony w Nowym Sączu, gdzie podczas przesłuchań był bity przez Niemców. Więziono go od 1 do 15 marca 1942 roku oraz 1 do 15 października 1944 roku. Mimo tego dyrektor nie poddał się, starał się robić jak najlepiej dla Polski i walki o niepodległość. Sam Jan Drożdż był członkiem struktur Związku Walki Zbrojnej, a później Armii Krajowej.

Pod koniec 1944 roku budynek szkolny, czyli dawny dwór Pieniżków zajęli żołnierze niemieccy na koszary. Uczniowie przenieśli się do pomieszczeń stolarni i tkalni, a nauka trwała dalej. W styczniu 1945 roku, w związku ze zbliżającym się frontem, dyrektor Jan Drożdż zarządził przerwę w nauce i rozesłał uczniów do domów rodzinnych. Na terenie szkoły pozostało tylko kilku uczniów potrzebnych do opieki nad gospodarstwem. Niemcy się wycofali, a na ich miejsce wkroczyła armia czerwona. Niestety żołnierze radzieccy zdewastowali szkołę i gospodarstwo szkolne. Armia czerwona zabrała wszystkie zwierzęta, zniszczyła ule. Czerwoarmiści zniszczyli meble szkolne oraz większość książek i pomocy naukowych. Część z nich spalili, a resztę ukradli. Mimo tego inżynier Jan Drożdż nie poddał się.



Uczniowie Górskiej Szkoły Rolniczej w Łososinie Górnej - rok szkolny 1934/35

W trzeciej ostatniej części przedstawione zostaną losy szkoły po wojnie oraz jej likwidacja. Przedstawione zostaną także dalsze losy Jana Drożdża po odśnięciu go od nauczania młodzieży.

¹ Bydło polskie czerwone wywodzi się od małego dzikiego bydła brachycerycznego (krótkorogiego), żyjącego we wschodniej części Europy Środkowej i w Skandynawii. Rozprzestrzenianie się bydła o umaszczeniu czerwonym, z różnymi odcieniami tej barwy na ziemi polskiej można wiązać z ruchami ludności, jakie miały miejsce na przełomie XV i XVI wieku. Warto zaznaczyć, że w 1894 roku powstał pierwszy Związek Hodowców Bydła Czerwonego przy Małopolskim Towarzystwie Rolniczym. W 1913 roku wydano księgę rodowodową tej rasy. W latach 1906 – 1913 średnia wydajność **krów polskich czerwonych** wahała się w granicach 1888 – 3349 kg mleka.

² Ser ementalski, ementaler (emmentaler) – jest to rodzaj szwajcarskiego sera, który produkowany jest z krowiego mleka. Zaliczany jest do serów twardych, podpuszczkowych, dojrzewających. Ma elastyczny i zwarty miąższ barwy kości słoniowej lub jasnożółtej. Ser ementalski ma smak łagodny oraz słodko – orzechowy. Ementaler w przekroju ma widoczne duże dziury. Ementaler produkowany jest w kształcie koła młyńskiego o lekko wypukłym wierzchu i spodzie. Aby uzyskać wszystkie zalety smakowe, ser ten wymaga długiego czasu dojrzewania. Zawiera około 45% tłuszczu w suchej masie. Nazwa sera ementaler pochodzi od Emmental, doliny rzeki Emme w kantonie berneńskim w Szwajcarii. Ser ten wytwarza się od 1293 roku.

³ Gościł w Polsce we wrześniu 1930 roku w tym na Ziemi Limanowskiej.

⁴ Leon Janta Polczyński był ministrem rolnictwa w latach 1930 – 1932 w rządach: Walerego Ślawka, Józefa Piłsudskiego, Aleksandra Prystora.

⁵ Biskup Józef Pazdur (1924 – 2015) – biskup pomocniczy wrocławski, absolwent Górskiej Szkoły Rolniczej.

Dopełnienie

W „Gazecie Podhalańskiej” nr 47 z 129 roku ukazał się artykuł zatytułowany: „Z Powiatu Limanowskiego”, w którym czytamy: (...) *Mleczarnia w Łososinie powstała przy Górskiej Szkole Rolniczej, jaką powiat limanowski w tym właśnie roku otworzył. Powstała staraniem dyrektora tej szkoły inż. Drożdża przy pomocy Zarządu Powiatowego, a w szczególności p. starosty Dr. Mullera, powołana do życia przede wszystkim przez samą ludność Łososiny i okolicznych wsi.*

(...) *Mały, strzechą kryty domek, w jakim rozpoczyna działalność łososinśka mleczarnia jest najlepszym dowodem, że założycielami kierowała myśl głębsza, nie chodziło im bowiem o to, jak spółdzielnia będzie wyglądać z wierzchu, ale o to jakie będą wyniki jej pracy (...). Jesteśmy pewni, że masło z marką „Łososina” zdoła sobie w krótkim czasie dobre imię nie tylko u nas, ale i za granicą, a zatem i dobrą cenę. Poświęcenia mleczarni dokonał w ostatnią niedzielę na sumie ks. Jagielka w obecności dyrektora patrona Spółdzielni Rolniczej w Krakowie p. Kostki, starosty powiatowego dr. Müllera, długoletniego marszałka powiatu p. Marsa, naczelnika sądu dr. Małety, inspektora Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego p. Toeppera, dyrektora Składnicy Kółek Rolniczych p. Krocza i licznie zebranych ludzi okolicznych wsi. Przemówienie ks. Jagielki, starosty dr. Müllera i dyr. Kostki tchnęły szczerą radością, że w tym biednym górskim powiecie limanowskim tworzy się znowu jedna placówka więcej (...).*

Relacje świadków eksterminacji mieszkańców Limanowej w okresie okupacji hitlerowskiej

Pokłosiem konferencji odbytej 20 stycznia 1942 roku w pałacu berlińskiej dzielnicy Wannsee, było ustalenie organizacyjnych i logistycznych aspektów eksterminacji ludności żydowskiej. Konferencję przewodniczył SS Gruppenfuhrer Reinhard Heydrich szef RSHA, protektor Rzeszy dla Czech i Moraw. To od jego nazwiska przyjęto nazwę Aktion Reinhard, Einsatz Reinhard dla oznaczenia akcji zagłady Żydów z Generalnego Gubernatorstwa i Okręgu Białostockiego, rozpoczętej w nocy z 16/17 marca 1942 roku. Kryptonim ten oznaczał bezpośrednią eksterminację ludności żydowskiej przeprowadzanej w latach 1942-1943 na terytorium okupowanej Polski w ramach tzw. ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej (Endlösung der Judenfrage). Tylko w czasie kilkunastu miesięcy zamordowano 1,85 mln Żydów w większości obywateli II RP. Wprawdzie od wkroczenia Niemców na teren Polski w 1939 roku dochodziło do licznych mordów i rozstrzeliwań ludności żydowskiej, ale nie przybrało to tak masowego i zorganizowanego charakteru, jak w czasie trwania Aktion Reinhard. Zaczęto umieszczać Żydów w gettach, w „fabrykach śmierci” – obozach koncentracyjnych rozsianych we wschodniej części okupowanego kraju, masowo rozstrzeliwać i poddawać eksterminacji. Na terenie Limanowej również utworzono getto w 1942 roku, rozstrzeliwano Żydów w wielu akcjach przeprowadzanych przez gestapo wraz z żandarmerią na terenie miasta i w terenie, przy asyście granatowej policji, co uwidaczniają przytaczane poniżej relacje.

Relacja Krzysztofa Jeża złożona przed przedstawicielem Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Krakowie w Kętach w dniu 15 II 1966 roku ¹:

„Przesłane wam zdjęcia zostały wykonane przez policjantów i żołnierzy niemieckich, którzy oddali filmy do wywołania w zakładzie fotograficznym Franciszka Fijała w Limanowej. Pracujący tam mój kolega Jerzy Kalita (zginął w partyzantce) zrobił dla mnie dodatkowe zdjęcia. Kliszy nie posiadam ².

Cały okres okupacji hitlerowskiej przebywałem w Limanowej, jednak z racji mojego wieku (14-19 lat) unikałem spotkań z gestapo i policją, dlatego osobiście widziałem następujące fakty:

Widziałem ciała rozstrzelanych około 10 Żydów, którzy prowadzeni na cmentarz żydowski, rzucili się do ucieczki. Dwoóm kobietom udało się uciec. Wtedy policja niemiecka aresztowała 15 zakładników – młodych kobiet i mężczyzn i ogłosiła, że o ile uciekinierki do dwóch dni się nie zgłoszą, to zakładnicy zostaną rozstrzelani. Tak też się stało.

Widziałem przez szparę w bramie jak ich prowadzono, a następnie z odległości 200 m obserwowałem jak ich

rozstrzeliwano na cmentarzu żydowskim i słyszałem strzały.

Widziałem likwidację getta limanowskiego. O świcie letniego dnia zebrano całą ludność żydowską na targowicy. Gestapo z Nowego Sącza oraz miejscowa niemiecka policja, bijąc nahajami dokonywała selekcji. Równocześnie grupa Baudienstu ³ z Nowego Sącza kopała grób zbiorowy w Starej Wsi. Około południa grupę chorych i starych w ilości około 70 osób załadowano na furgon i zawieziono na rozstrzelanie (osobiście nie widziałem).

Grupę mężczyzn młodych i zdrowych poprowadzono do obozu w Sowlinach, gdzie kilka miesięcy pracowali w firmie Via Nova ze Stuttgartu przy budowie dróg. Jesienią po sezonie budowlanym cała grupa została rozstrzelana w okolicach Tymbarku (osobiście nie widziałem).

Pozostałą resztę Żydów pędzono pieszo do getta w Nowym Sączu, skąd wywieziono ich do obozu zagłady.

Widziałem też obóz jeńców radzieckich w Sowlinach koło Limanowej. Widziałem, jak żołnierze Wehrmachtu bijąc, pędzili jeńców do pracy w Rafinerii. Słyszałem później od naocznych świadków, że jeńcy

zostali wygłodzeni. W zimie codziennie przywożono furmanką przeważnie po kilka ciał, podobnych raczej do szkieletów na cmentarz w Limanowej, gdzie zostali pochowani.

Nie widziałem faktu rozstrzelania około 60 Żydów (których dotyczą nadesłane Wam zdjęcia), chociaż w tym dniu byłem w Limanowej, ale słyszałem, że odbyło się to w odległości 50 metrów od rynku koło stolarni Pałki. Zginął wtedy przewodniczący Judenratu, który odmówił doprowadzenia Żydów do rozstrzelania ⁴.

Ogólnie biorąc, teren Limanowej i powiatu był widownią licznych zbrodni hitlerowskich, tak na ludności polskiej, żydowskiej, jak i na jeńcach radzieckich. Prawie każdy starszy mieszkaniec tych terenów był świadkiem licznych zbrodni i faktów. Szczególnie dużo mogą zaświadczyć byli więźniowie obozów i więzień hitlerowskich ⁵.

Relacja Marii Biedroń złożona przed przedstawicielem OKBZH w Krakowie, sędzią Wandą Dobrowolską, w Limanowej dniu 4 VI 1968 roku ⁵:

„Przed wojną i w czasie okupacji mieszkałam z rodziną w Limanowej. W lutym 1940 roku został aresztowany mój brat Kazimierz Biedroń przez żandarmerię w Limanowej. Drugi mój brat Henryk Biedroń też był aresztowany przez żandarmerię w tym samym dniu, co brat Kazimierz. W tym czasie jak byli aresztowani moi bracia Kazimierz i Henryk Georga Urbana nie było w Limanowej. W dniu 10 X 1940 roku został aresztowany przez granatową policję mój trzeci brat Stanisław, dlatego, że poprzedniego dnia zbiegł zatrzymany przez żandarma Baumacha (Baumack) brat Henryk, który jeszcze w 1940 roku po trzech miesiącach pobytu w więzieniu został zwolniony i przebywał w Limanowej. Brat Stanisław usiłował zbiec, w czasie ucieczki został postrzelony, a następnie zmarł w szpitalu. Brat Henryk po udanej ucieczce nie powrócił do domu, ukrywał się był w partyzantce. ►

► W dniu 20 października 1942 roku w związku z tym, że żandarmeria nie mogła znaleźć brata Henryka, aresztowali ojca Jana Biedronia. Przybyli po niego żandarmi Piesch (Pisch) i Kirschmeier (Kirschmayer). W tym czasie jak został postrzelony brat Stanisław i aresztowany ojciec, komendantem żandarmerii w Limanowej był Georg Urban. Georg Urban był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, szatynem, lub ciemnym blondynem, lat około czterdziestu.

Brat Kazimierz zginął w Oświęcimiu. Ojciec przeżył Oświęcim.

W 1943 roku w pobliżu naszego domu został odkopany przez dzieci odbiornik radiowy nadawczo-odbiorczy. Odbiornik ten oddano granatowej policji, a następnie jak dowiedziałam się zaniesiono na żandarmerię. Granatowy policjant Jankowski powiedział mi, że jak komendant Georg Urban dowiedział się, że odbiornik znaleziono w naszych zabudowaniach powiedział: „zniszczyć, spalić, dość na ten dom nieszczęścia”. Żadnych represji w stosunku do nas w związku ze znalezieniem odbiornika nie zastosowano. Jak się później dowiedziałam brat mój Stanisław i ojciec zostali aresztowani na polecenie gestapo.

Przypominam sobie, że w 1942 roku widziałam jak żandarmi w Limanowej pędzili grupę Żydów liczącą około dwudziestu osób. Byli to młodzi mężczyźni i kobiety. Otoczonych żandarmami pędzono ich ulicą Krakowską w stronę cmentarza żydowskiego. Wśród żandarmów zauważyłam Piescha (Pisch). Czy był między nimi Georg Urban nie zauważyłam. Prowadzono ich około 18.00. Zabroniono w tym czasie mieszkańcom Limanowej opuszczać domów. Obserwowałam z pierwszego piętra domu przy ulicy Krakowskiej 19 z mieszkania mojego wujka. Żydów prowadzili wolno. Po upływie pół godziny usłyszałam strzały dochodzące od strony cmentarza żydowskiego. Od Żydów, którzy brali udział przy zakopywaniu zwłok na cmentarzu, dowiedziałam się, wszyscy o tym mówili w Limanowej, że grupa prowadzonych przez żandarmów Żydów została następnie przez nich zastrzelona na cmentarzu.

W czasie likwidacji getta w Limanowej starych Żydów wywieziono samochodem do Starej Wsi i tam zastrzelono. Młodszych Żydów mężczyzn zdolnych do pracy w ilości około stu, zamknięto w obozie w Sowlinach. Pozostałych



Kolumna Żydów na ulicy Krakowskiej - 1942 rok. Fot. arch. albumu „Okruchy pamięci”

Żydów popędzono do Nowego Sącza. Żydzi, którzy zostali zamknięci w obozie w Sowlinach, chodzili codziennie do pracy przy budowie dróg. Po upływie około miesiąca, pewnego dnia, zamiast do pracy, żandarmi poprowadzili ich w stronę Tymbarku i w miejscowości Zamieście wszystkich wymordowali. Obecnie w miejscu tym, gdzie zostali wymordowani, znajduje się pomnik. W akcji tej brali udział żandarmi z Limanowej. Czy osobiście brał udział Georg Urban nie wiem. Nie widziałam i nie słyszałam, żeby komendant żandarmerii Georg Urban osobiście strzelał lub w inny sposób znęcał się nad ludnością polską lub żydowską.

Za najbardziej sadystycznego żandarma uchodził w Limanowej Baumach. Od ciotki Anny Halota dowiedziałam się, że Baumach (Baumack) zastrzelił Żyda na cmentarzu w Limanowej. Strzelił do niego kilka razy mimo, że mógł go zabić jednym strzałem. Znęcał się nad nim. Ciotka widziała to zajście osobiście i znała nazwisko Żyda.

Wiem, że Wiktor Mugge był Landkomissarzem w Limanowej, ale o jego działalności nic nie mogę powiedzieć”.

Relacja Wincentego Kwiecińskiego złożona przed przedstawicielem OKBZH w Krakowie, sędzią Wandą Dobrowolską w Limanowej w dniu 29 IV 1969 roku ⁶:

„Od grudnia 1939 roku przez cały okres okupacji mieszkałem w Limanowej. Od 1941 roku rozpocząłem pracę w Magistracie w charakterze inżyniera miejskiego. Wiem, że komendantem żandarmerii w Limanowej był Urban. Był w randze

lejtanta. Był on mężczyzną w wieku około czterdziestu kilku lat. Kiedy przybył do Limanowej, nie przypominam sobie. Pamiętam, że latem 1942 roku tj. w okresie masowego wywożenia Żydów, Urban był już w Limanowej.

Pamiętam nazwiska żandarmów: Baunak, Sander, Ruby, Szober, fonetycznie: Piesch i Preiss.

Widziałem wiosną 1942 roku jak w godzinach przedpołudniowych koło mostu obok budynku poczty, żandarm Baunak prowadził grupę około pięciu Żydów, mężczyzn i kobiet. Stałem w odległości około 150 metrów od żandarma i prowadzonych przez niego Żydów. Stałem na górze. Miałem dobre warunki obserwacji. Po chwili usłyszałem strzał. Pierwszy jak się zorientowałem był oddany przez Baunaka w górę. Odniosłem wrażenie, że oddany został celem sprowokowania ucieczki. Żydzi zaczęli uciekać. Wówczas Baunak zaczął do nich strzelać. Widziałem jak zastrzelił jednego Żyda. Wycofałem się. Dowiedziałem się później, że z tych prowadzonych wówczas Żydów, tylko jedna Żydówka uciekła. Ten Żyd, którego widziałem jak go zastrzelił Baunak, był rzeźnikiem w Limanowej. Znałem go. Nazwiska nie pamiętam.

Wiosną lub latem 1942 roku widziałem jak dwóch żandarmów, których nie przypominam sobie, prowadziło w godzinach popołudniowych przez rynek w kierunku cmentarza żydowskiego dwie młode Żydówki. Jedną z tych Żydówek była studentka Szwarcaband. Dowiedziałem się, że Żydówki te zostały zastrzelone na cmentarzu żydowskim

w ramach represji przeciwko ludności żydowskiej, ale szczegółów nie pamiętam.

W sierpniu 1942 roku, daty bliżej nie pamiętam, widziałem jak dokonywano selekcji Żydów w związku z masowym wywożeniem ich do Nowego Sącza i likwidacją getta w Limanowej. Selekcję obserwowałem z okna mojego domu przy ul. Orkana. Widziałem jak z przepędzanych w kolumnach na placu targowicy Żydów, wyciągnięto osoby obojga płci starszych wiekiem. Nie obeszło się bez bicia i popychania. Nie przypominam sobie, czy strzelano. Tych wyselekcjonowanych Żydów załadowano do dwóch ciężarowych samochodów, a resztę Żydów pędzono w stronę Nowego Sącza. Samochody z tymi wyselekcjonowanymi Żydami na placu targowym stały przez kilka godzin, a następnie odjechały w stronę Starej Wsi, gdzie jak mi wiadomo zostali zastrzeleni wszyscy Żydzi, którzy znajdowali się w samochodach. Mogło być ich około 60 osób. Selekcję obserwowałem z okien pierwszego piętra z około 70 metrów. Widziałem, że udział w akcji wywożenia i selekcjonowania brała miejscowa żandarmeria z tym, że poszczególnych żandarmów, nie rozpoznałem. Było ich kilku.

Nie wiem nic o fakcie zastrzelenia trzech młodych dziewczyn-Żydówek krewnych garbarza.

Nie znam innych faktów zbrodniczej działalności Urbana”.

Relacja Jerzego Kwiecińskiego złożona przed przedstawicielem OKBZH w Krakowie, sędzią Wandą Dobrowolską w Limanowej dniu 30 IV 1969 roku⁷:

„Przez cały okres okupacji mieszkałem stale i byłem zatrudniony jako adwokat w Limanowej. Z czasów powyższych pamiętam, iż funkcję komendanta żandarmerii pełnił N. Urban, poza tym pamiętam nazwiska takich żandarmów jak: Preiss, Baunak, Ruby, Piesch.

Ze słyszenia wiadomo mi, że Baumak miał kilka osób, w tym prawdopodobnie większości narodowości żydowskiej zastrzelić na ulicach miasta Limanowej tak, że z tej przyczyny nawet ludność obawiała się go po prostu i unikała z nim jakiegokolwiek kontaktu.

Szczegółów jego działalności bliżej podać nie mogę, tym bardziej, że nie był on długo w Limanowej – może rok, może dwa⁸. Czy bezpośrednio komendant Urban brał udział w zbrodniach przeciwko ludności polskiej nie mogę stwierdzić.

W dwa dni po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej wzięto na polecenie i przy udziale Hamanna kilkudziesięciu zakładników z Limanowej. Między innymi i ja miałem być aresztowany, jako zakładnik, jednak uciekłem i przez okres kilku miesięcy ukrywałem się.

W tym czasie z dużym nasileniem szerzył się terror gestapo przeciwko ludności polskiej, a niezależnie od tego z jeszcze większym nasileniem przeciwko ludności żydowskiej, którą to coraz to więcej prześladowano, ograniczano w podstawowych prawach życiowych, brano na roboty, koncentrowano w miejscach odosobnienia – gettach.

Punktem kulminacyjnym eksterminacji Żydów było wykończenie ich, o ile pamiętam 16 lub 17 sierpnia 1942 roku, w szczególności całą ludność żydowską skoncentrowaną uprzednio przez szereg tygodni w getcie w Limanowej, spędzono we wczesnych godzinach rannych na targowicę w Limanowej, gdzie poddano ich ponownej selekcji. Ludzi starszych, niedołążnych, ich zdaniem, w ilości ponad stu wywieziono autami do pobliskiej wsi – Starej Wsi i tam rozstrzelano, a resztę w ilości około tysiąca pognano piechotą dwadzieścia pięć kilometrów do Nowego Sącza, skąd ich potem wywieziono wagonami kolejowymi zdaje się do Bełżca. W tej likwidacji Żydów w Limanowej brali udział oprócz całej rzeszy gestapowców także miejscowi żandarmi, ale czy bezpośrednio oni wykonywali egzekucje w Starej Wsi – tego podać nie mogę.

W czasie, gdy jeszcze selekcjonowano ludność żydowską na targowicy, przechodziłem ulicą, widziałem tę selekcję i słyszałem z odległości kilkudziesięciu metrów krzyki, płacz i jęki bitej i selekcjonowanej ludności.

W czasie selekcji wyżej podanej wybrano około dwustu młodych mężczyzn, których umieszczono w baraku w Sowlinach i których z nastaniem zimy rozstrzelano w Zamieściu. Kto był wykonawcą tej egzekucji – nie mogę podać”.

Masowych egzekucji ludności żydowskiej w Limanowej dokonywali gestapowcy z Nowego Sącza wspomagani przez żandarmerię niemiecką, zaś mniejszych grup i pojedynczych osób głównie żandarmi. W masowych egzekucjach brała udział obok gestapo, żandarmeria i jako obstawa granatowa policja. Spośród gestapowców świadkowie egzekucji wymieniali poza Heinrichem Hamannem,

Johana Gorkę, Georga Wiesnera, Maxa Domańskiego, Fritza Lorentza, oraz żandarmów: Bruno Baumacka, Józefa Preissa, Fritza Sandera, Karola Pischę, Georga Urbana, Wilhelma Hintza, Wilhelma Ruby, Hermana Rabe, Wiktora Butza, Kirchmeyera, Józefa Weissa.

Po wojnie sprawiedliwość dosięgła tylko nielicznych. Hamann w procesie w Bochum w 1966 roku został skazany na dożywocie, Wiesner zginął w wypadku samochodowym we wsi Frycowa w 1944 roku, Gorka popełnił samobójstwo w więzieniu w Nowym Sączu w 1945. Pisch został skazany przez polski sąd na karę śmierci w grudniu 1945 roku, którą wykonano, gdy prezydent nie skorzystał z prawa łaski. W procesie w Bochum wymieniono m.in. żandarmów Georga Urbana, Bruno Baunacka, Maxa Domańskiego. Reszta uniknęła kary.

¹ Getto w Limanowej i obóz jeniecki, GK 165/397, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Krakowie (dalej IPNKr), s.6-9.

² Krzysztof Jeż przekazał w 1965 roku GKBZH w Polsce 12 zdjęć wykonanych przez Niemców w Limanowej w okresie okupacji, które skatalogowano, opatrując sygnaturami od 4730 do 4741. Ukazują one transport na cmentarz i grzebanie zwłok 60 Żydów rozstrzelanych przez gestapo z Nowego Sącza oraz jeńców radzieckich w obozie w Sowlinach. Niestety, zdjęcia te nie znajdują się w zasobach IPN, Getto w Limanowej..., s.1-2.

³ Były to Oddziały budowlane.

⁴ Nazywał się Schutzer i został rozstrzelany wraz z całym zarządem limanowskiego Judenratu.

⁵ Urban Georg komendant Żandarmerii w Limanowej, sygn. Ds. 8/68, IPNKr, s.13-15. Maria Biedroń ur. w 1922 roku w Limanowej, gdzie mieszkała, aż do śmierci, w domu na zapleczu Rynku, mieszczącym się – przy ul. Krętej 11.

⁶ Urban Georg komendant Żandarmerii w Limanowej, sygn. Ds. 8/68, IPNKr, s.40-42. Wincenty Kwieciński (1906-1979), inżynier, od 1940 r. pracował w Magistracie w Limanowej, był kilkakrotnie zakładnikiem wyznaczonym przez władze niemieckie, spośród znanych obywateli miasta, a także aresztowany przez gestapo, spędził kilka miesięcy w więzieniu w Nowym Sączu, szerzej patrz: E.Wojtas-Ciborska, Księga limanowian. Biografie ludzi związanych z Ziemią Limanowską, Limanowa 2006, s. 332-333.

⁷ Urban Georg komendant Żandarmerii w Limanowej, sygn. Ds. 8/68, IPNKr, s.45-46. Jerzy Kwieciński (1908-1974), adwokat, społecznik, członek RGO w Limanowej, SL, PSL, po wojnie starosta limanowski, szerzej patrz: E. Wojtas-Ciborska, Księga limanowian, s.330-331.

⁸ Georg Urban był komendantem Posterunku Żandarmerii niemieckiej aż do ich ucieczki w styczniu 1945 roku.



WEŹ WYGODNY KREDYT NA SZCZĘŚCIE

Zdecyduj co wybierasz:

- ✓ niższą prowizję
- ✓ obniżone oprocentowanie

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) wynosi 11,06% dla Klienta posiadającego rachunek w Banku - przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu (bez kredytowanych kosztów) 10 000 zł spłacana w 36 miesięcznych ratach kapitałowo-odsetkowych: 35 rat po 320,47 zł i jedna rata 322,12 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 9,50% w stosunku rocznym. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 11 688,57 zł, w tym: całkowita kwota kredytu – 10 000 zł, całkowity koszt kredytu – 1 688,57 zł, na który składają się: odsetki – 1 538,57 zł, prowizja za udzielenie kredytu – 150 zł, usługi dodatkowe – 0 zł oraz opłata przygotowawcza – 0 zł. Kalkulacja została dokonana na dzień 19.03.2019r. na przykładzie reprezentatywnym. Przyznanie kredytu przez Bank uzależnione jest od pozytywnej oceny zdolności kredytowej. Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

NOWE MIESZKANIA

W ZABUDOWIE SZEREGOWEJ

JUŻ W SPRZEDAŻY

LIMANOWA, UL. KOCHANOWSKIEGO



OSIEDLE
KOCHANOWSKIEGO

tel. 604 426 516

tel. 696 567 753

e-mail: anna.dziedzic@impuls-psb.pl

www.kochanowskiego.limanowa.pl